

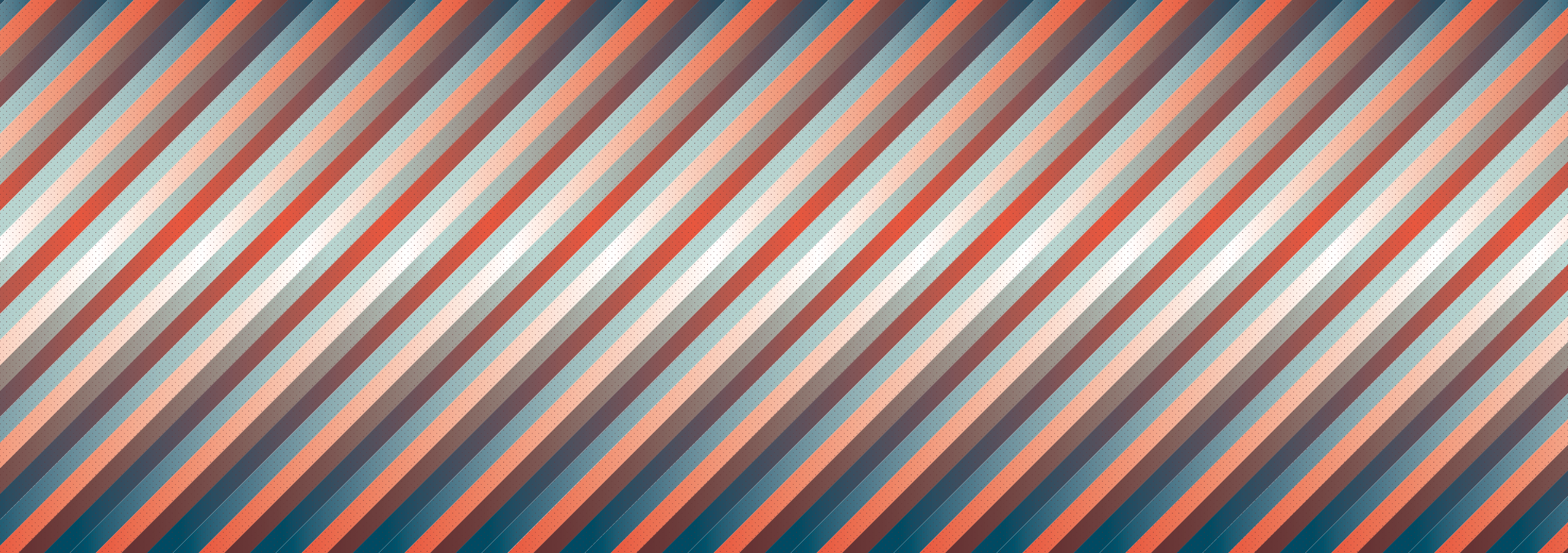


FILCEK

poznaje

OTWOCK







ISBN 978-83-914987-5-0

tekst i koncepcja literacka – Katarzyna Kulik

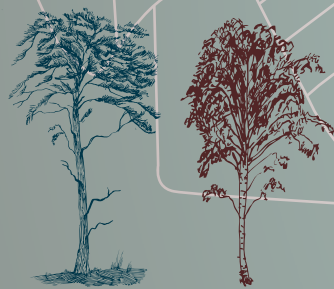
ilustracje, projekt graficzny i skład – Karolina Kotowska

redakcja i korekta – Kaja Kojder–Demska

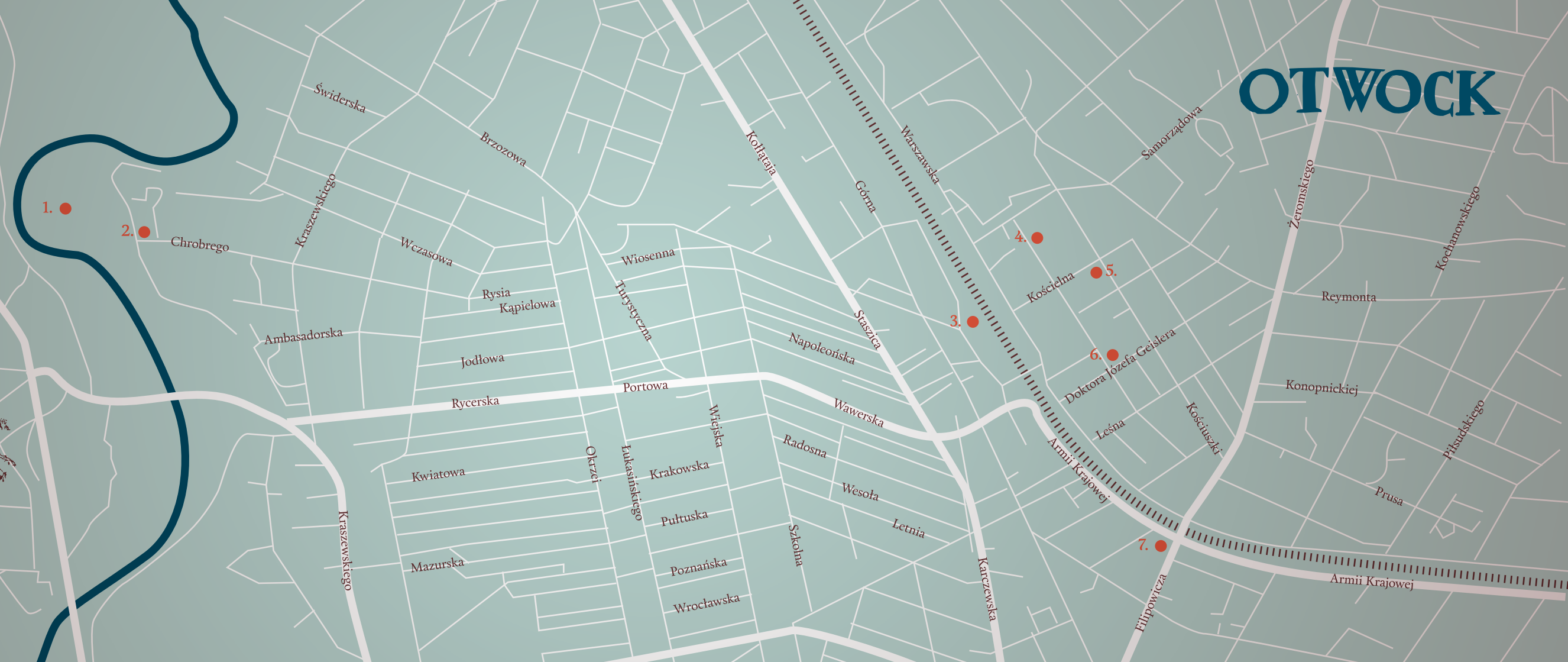
konsultacja merytoryczna – Katarzyna Mill

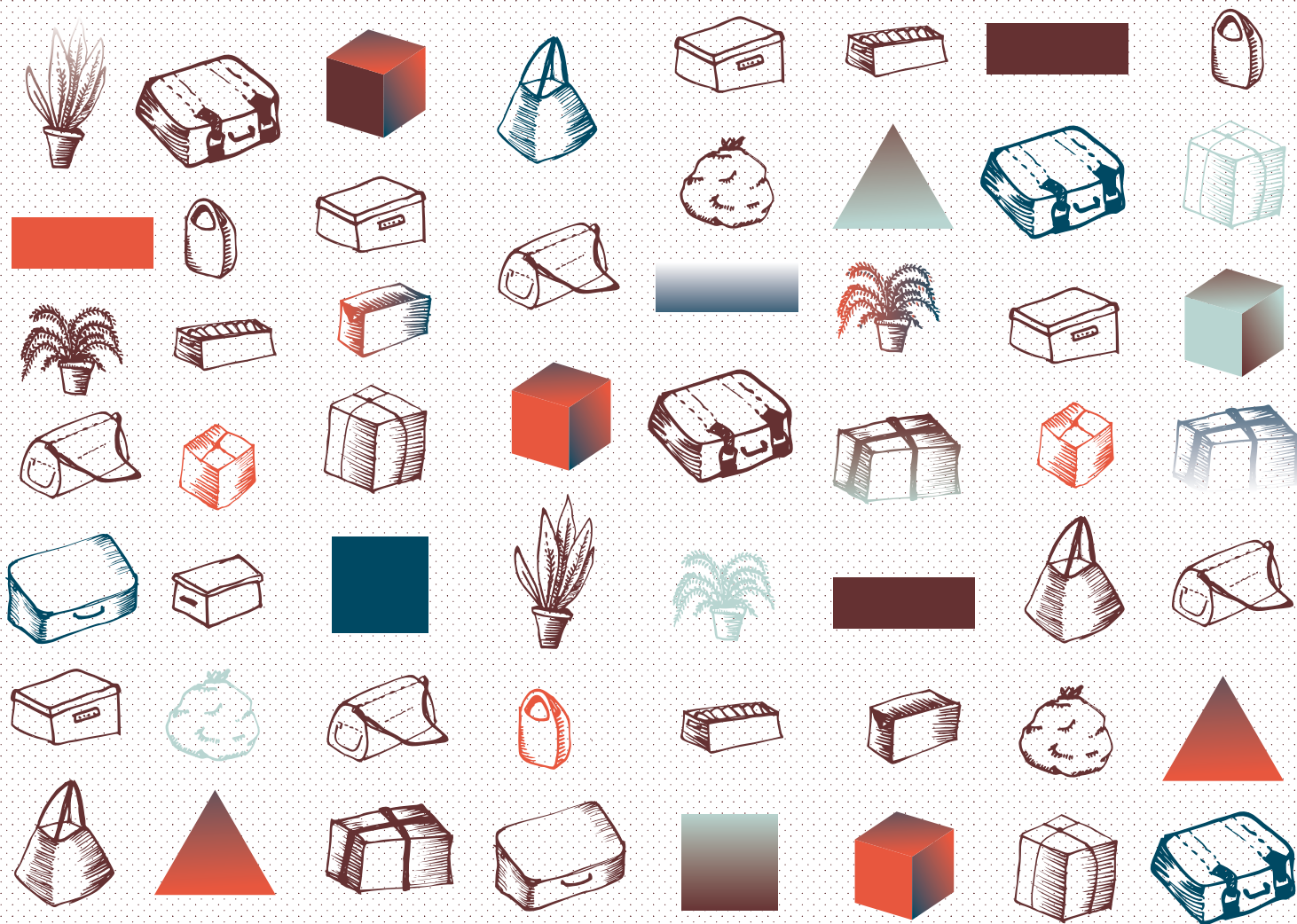
Projekt, realizowany przez Towarzystwo Przyjaciół Otwocka,
dofinansowano ze środków Muzeum Historii Polski w Warszawie
w ramach programu „Patriotyzm Jutra”

1. Ogrody Andriollego
2. Z tego miejsca Filcek i Uszka zaczęli szukać śladów Andriollego
3. Stacja kolejowa
4. Willa „Na Górcie”
5. Willa Perechodnika
6. Dom dzieci Geislera
7. Uzdrowisko Gurewicza



OTWOCK





ROZDZIAŁ *pierwszy*

Naklejki z biedronkami? Są. Żółta opaska z tulipaniem? Jest – Agnieszka kończyła przeglądać zawartość swojego podręcznego plecaka i wykreślała ostatnie rzeczy z przygotowanej wcześniej listy. – Długopis z Zakopanego? Jest. Książka na podróż też. Filcek? No, gdzie ty się znowu zgubiłeś?

Babcia przyniosła Agnieszce Filcka trzy lata wcześniej, na jej siódme urodziny. Niczym nie wyróżniał się spośród jej pozostałych maskotek – ot, zwyczajny, niewielki czarny filcowy kot z wyjątkowo długim, pasiastym ogonem – ale to właśnie on stał się jej ulubieńcem. A może pokochała go właśnie dlatego, że był taki niepozorny?

Od początku Filcek był jej nieodłącznym towarzyszem. Agnieszka najchętniej wcale by się z nim nie

rozstawiała. W czasie lekcji siedział w bocznej kieszonce jej szkolnego plecaka, po południu czekał na biurku, aż skończy odrabiać lekcje, a w nocy wylegiwał się na poduszkach – do momentu, kiedy przez sen zrzucała go na podłogę. Codziennie rano nurkowała pod łóżko, żeby wydobyć swojego ukochanego Filcka. A teraz całą rodzinę ogarnął ferwor pakowania – przeprowadzali się do innego miasta. Od dziś nic już nie miało być takie samo. Agnieszka i jej siostra Marta wiedziały tylko tyle, że przenoszą się do Otwocka, niewielkiego miasta pod Warszawą. Wiedziały, że nie będą już mieszkać w bloku, ale w bardzo starym domu. Nie były jednak pewne, czy powinny się z tego cieszyć.

Większość rzeczy już została przewieziona do tego nowego–starego domu. Do zabrania zostały ostatnie ulubione drobiazgi – w tym oczywiście Filcek. Tylko gdzie on się podział?

Pewnie jak zwykle wpadł pod łóżko. Agnieszka zawisła głową w dół, wypatrując w ciemnej przestrzeni ukochanej maskotki.

– Jesteś! – wykrzyknęła wreszcie, ciągnąc Filcka za ogon. – Za chwilę wyjeżdżamy, a ty mi uciekasz. Wiesz, że już tu nie wrócimy?

Filcek w milczeniu wpatrywał się w nią błyszczącymi guzikowymi oczami.

– Wiesz, trochę się boję tej przeprowadzki – westchnęła Agnieszka. – Co będzie, jeśli nie znajdę tam żadnych koleżanek? Albo jeśli ten dom mi się nie spodoba? Mama mówi, że wybudowano go prawie

sto lat temu. Wiesz, ile to jest sto lat? Sto lat temu to nawet babci jeszcze nie było na świecie! Całe szczęście, że mam ciebie. Razem jakoś sobie poradzimy, szkoda tylko, że nie potrafisz mówić.





Łowicz-Źółkiew. Dworzec.

ROZDZIAŁ *drugi*

Kilka godzin później Agnieszka, Marta i ich mama czekały na stacji kolejowej na pociąg, który miał je zawieźć do Otwocka. Tata został w starym mieszkaniu, żeby spakować ostatnie pudła i zawieźć je samochodem do nowego domu. Dziewczynki cieszyły się, że jadą pociągiem, i wypytywały mamę, jak jest w Otwocku.

– Wszystko zaczęło się od stacji kolejowej – powiedziała mama. – To wokół niej ponad sto lat temu zbudowano pierwsze domy. A potem Otwock stał się znanym letniskiem.

– Co to jest letnisko? – zapytała Marta.

– To taka miejscowość, do której ludzie przyjeżdżają na wakacje, najwięcej jest ich w górach, nad morzem i nad jeziorami. Ale zdarzają się też letniska położone w lesie i taki właśnie był Otwock.

Nadjechał pociąg. Wagon był prawie pusty. Dziewczynki szybko zajęły miejsca przy oknach. Agnieszka wyciągnęła Filcka z plecaka i posadziła go na olbrzymiej torbie mamy, żeby też mógł wyglądać. Kiedy już minęli Warszawę, z każdą minutą robiło się coraz bardziej zielono. Przez uchylone okna wpadało do pociągu ciepłe powietrze.

– Zobacz, jaki dziwny dom! – wykrzyknęła Marta, wskazując Agnieszce duży drewniany budynek, doskonale widoczny z pociągu.

– Podoba się wam? – spytała mama.

– Nie – odparła Agnieszka. – Wygląda, jakby za chwilę miał się zawalić.

– Patrzcie, jakie ma ładne deseczki wokół tarasu! – wykrzyknęła Marta. – Wyglądają zupełnie jak wycianka. I ta wieżyczka... Na pewno widać z niej Pałac Kultury!

Mama się uśmiechnęła.

– Pałacu Kultury pewnie nie, ale na pewno widać całą okolicę. Zapytałam, czy wam się podoba, bo zamieszkamy w bardzo podobnym. W Otwocku jest dużo takich domów, a kiedyś było ich jeszcze więcej. Ludzie nazywają je „świdermajerami”.

– Ale śmieszna nazwa! – parsknęła Marta.

– To nazwa prosto z wiersza – powiedziała mama.

– „Te wille, jak wójt podaje, są w stylu świdermajer”.

– Nasz dom też tak wygląda? – zapytała Agnieszka, która bała się, że będzie musiała mieszkać w rozpadającym się ze starości budynku.

– Jest dużo mniejszy od tego, ale za to znacznie lepiej utrzymany. Kiedy wiosną kupiliśmy go z tatą, trzeba było przeprowadzić remont. Teraz jest już prawie po wszystkim i możemy się wprowadzić, ale same zobaczcie, że kilka rzeczy jeszcze przydałoby się poprawić. Na pewno będziecie zachwycone!

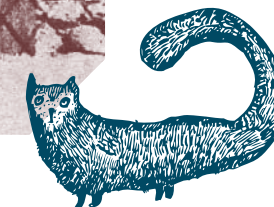
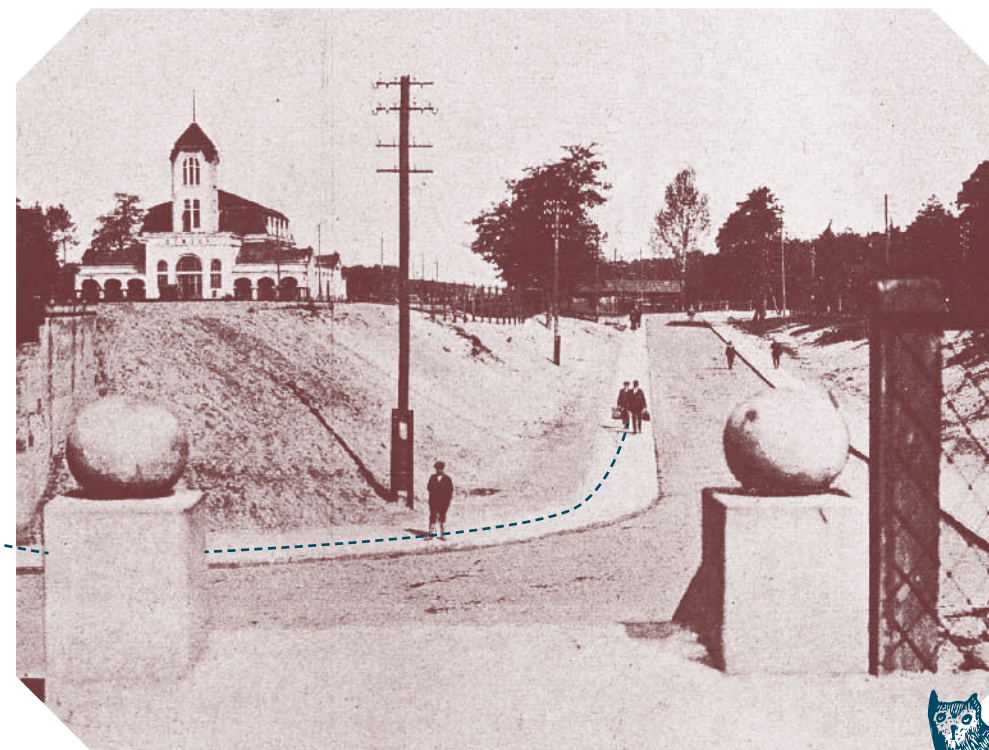
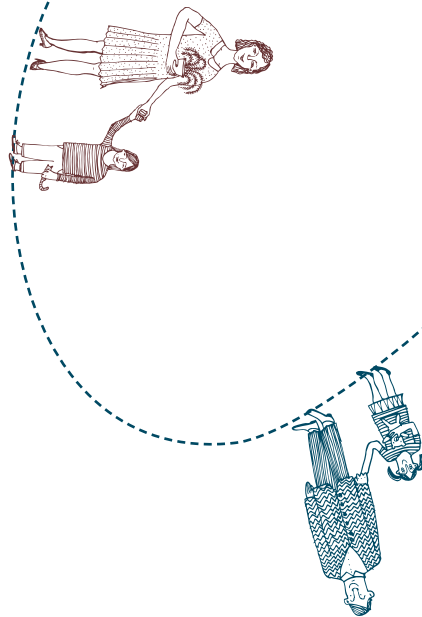
Agnieszka milczała. Coraz mniej jej się to wszystko podobało. Nagle zapragnęła wrócić do swojego dawnego mieszkania. Westchnęła i pogłaskała Filcka.

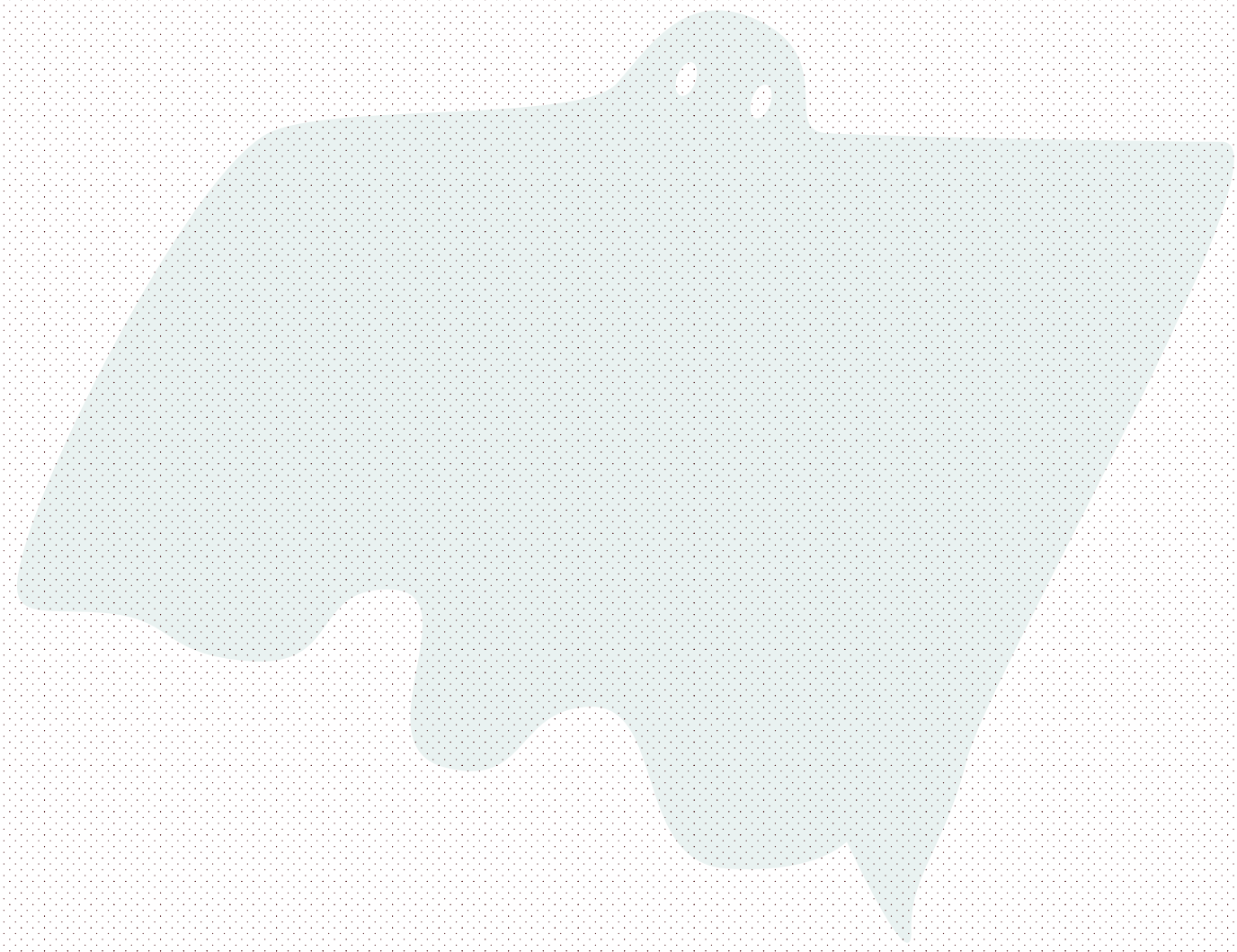
– ŚWIDER – Marta przeczytała głośno nazwę stacji. Zachodzące słońce chowało się już za koronami drzew, kilkoro pasażerów powoli wysiadało na niedużym peronie. Marta i Agnieszka nagle poczuły błogie rozleniwienie. Jak cudownie! To pewnie dlatego przyjeżdżali tu ci wszyscy letnicy! Ale nie było teraz czasu na odpoczynek.

– No, dziewczynki, jesteśmy prawie na miejscu. To przedostatnia stacja, na następnej wysiadamy – mama poganiała je do wyjścia. – Wszystko zabrałyście?

Agnieszka w pośpiechu wcisnęła Filcka w boczną kieszeń plecaka. Zbliżali się do stacji w Otwocku – znacznie większej niż Świder. Pociąg zatrzymał się i kilka chwil później wszystkie trzy szły w stronę okazałego budynku dworca kolejowego.

Żadna z nich nie zauważyła, że Filcek wypadł z bocznej kieszeni plecaka Agnieszki. Pograżone w rozmowie oddalały się coraz bardziej od dworca, a tymczasem filcowy kot został na peronie zupełnie sam...

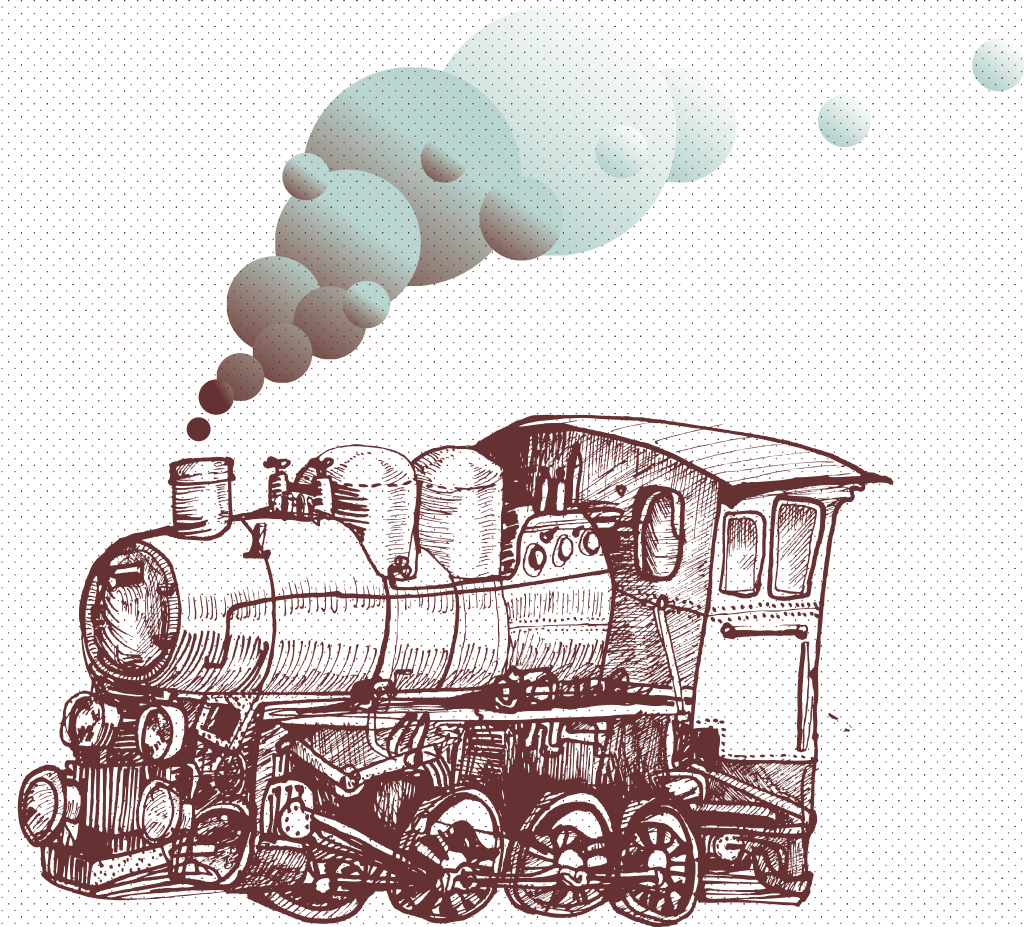




ROZDZIAŁ
trzeci

Gdyby Filcek mógł mówić ludzkim głosem, z pewnością zawołałby Agnieszkę. Ale był tylko maskotką i mówić nie potrafił. Leżał więc samotnie na peronie. Pociągi przyjeżdżały i odjeżdżały. Wsiadali z nich ludzie, którzy obojętnie mijali Filcka, najczęściej w ogóle go nie dostrzegając. W końcu zapadła noc i peron opustoszał. W pewnym momencie po torze majestatycznie przejechała lokomotywa, ciągnąc za sobą kilka wagonów. W niczym nie przypominała pociągu, którym tu przyjechali. Była to czarna, potężna lokomotywa na dużych kołach. Z przodu miała wysoki, okrągły komin, z którego buchała para. W powietrzu rozległ się przeciągły gwizd. I w tej właśnie chwili Filcek poczuł, że może się ruszać! Ze zdumieniem wysunął

pazurki, wyciągając przed siebie wszystkie cztery łapki, i poruszył końcem długiego, pasiastego ogona. – Jak to możliwe?! Mogę chodzić! Mogę biegać! Chyba jestem prawdziwym kotem! – nie mógł się nadszwić Filcek, po czym podniósł się z ziemi i ruszył w kierunku stojącej na peronie lokomotywy. Lokomotywa znowu zagwizdała i powoli ruszyła do przodu, rytmicznie turkocząc. – Jeszcze nigdy takiej nie widziałem – mruknął do siebie Filcek. – Nic dziwnego, że nie widziałeś – odezwał się jakiś męski głos. Filcek odwrócił się. Przed nim stał starszy, wąsаты mężczyzna w ciemnych spodniach, białej koszuli i w kamizelce. Na głowie miał okrągłą czapkę



z niewielkim, sztywnym daszkiem. Filckowi przypomniała ona nieco czapki żołnierzy, których widział kiedyś na zdjęciu w jednej z książek Agnieszki.

– Rozumiesz mnie? – spojrzał na mężczyznę ze zdumieniem.

– Wszystkie duchy się rozumieją. Nieważne, czy są ludźmi czy zwierzętami.

– Jak to duchy? Jesteś duchem?

– Tak, zresztą ty też.

– To nie zamieniłem się w prawdziwego kota?

– Niestety nie. Ale i tak powinieneś się cieszyć. Dotąd byłeś maskotką, która nie mogła się ruszać ani mówić, a teraz możesz robić, co tylko zechcesz.

Filcek pomyślał chwilę. Rzeczywiście, mógł iść, dokąd chciał, robić, co mu się podobało. Ale przede wszystkim musi odnaleźć Agnieszkę. Na pewno

bardzo za nim tęskni. Jak ją znajdzie, opowie jej, co mu się przydarzyło, a ona bardzo się ucieszy, że wreszcie będą mogli porozmawiać.

– Dlaczego stałem się duchem? – zapytał mężczyznę.

– Dzięki lokomotywie–widmo. To pierwszy parowóz, jaki pojawił się w Otwocku. Minęło już tyle lat, a ciągle ma sentyment do tego miasta. Przyjeżdża w każdą pełnię księżyca i gwizdem ożywia wszystkie maskotki, jakie spotka na drodze. Może „ożywia” to nie jest zbyt trafne określenie. Zamienia je w duchy, tak jak ciebie. Nie zdarza się to znowu tak często. Mało kto zostawia swoją maskotkę na peronie.

– Agnieszka mnie nie zostawiła! Wpadłem jej z plecaka – prychnął Filcek.

– Wszystko jedno. W każdym razie zdarza się to rzadko.

– A ty kim właściwie jesteś? To znaczy, kim byłeś kiedyś, zanim...

– Zanim stałem się duchem, tak? Byłem zawiadowcą na tej stacji. Kierowałem ruchem pociągów i pilnowałem, żeby wszystko przebiegało sprawnie, a pasażerowie byli zadowoleni. Ech, lubiłem swoją pracę. Dlatego teraz często tutaj wracam, żeby popatrzeć na dworzec i na pociągi. Tyle się zmieniło! Sto lat temu nie potrafiłbym sobie nawet wyobrazić takiego pociągu, jak ten, którym przyjechałeś. Robi wrażenie, ale to jednak nie to samo, co parowóz.

– Dlaczego?

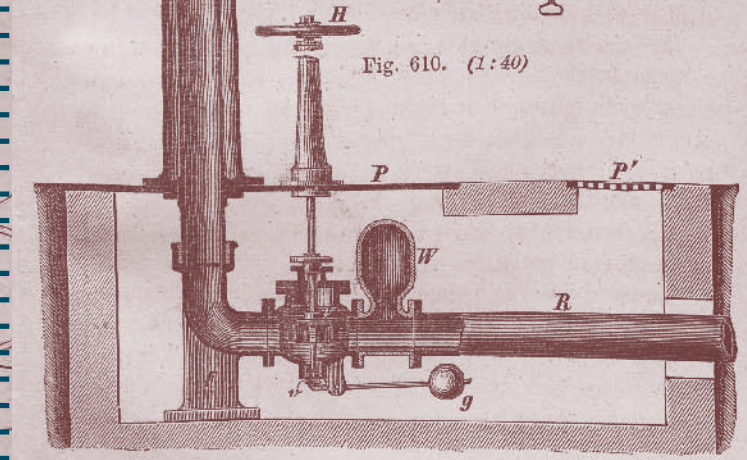
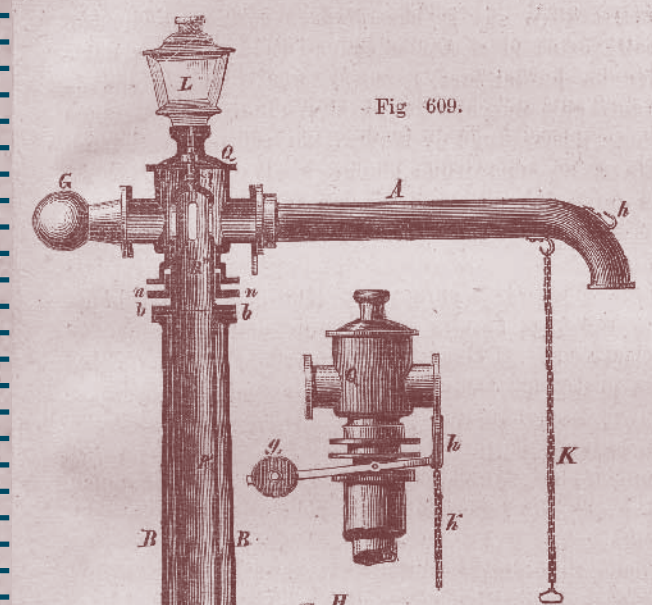
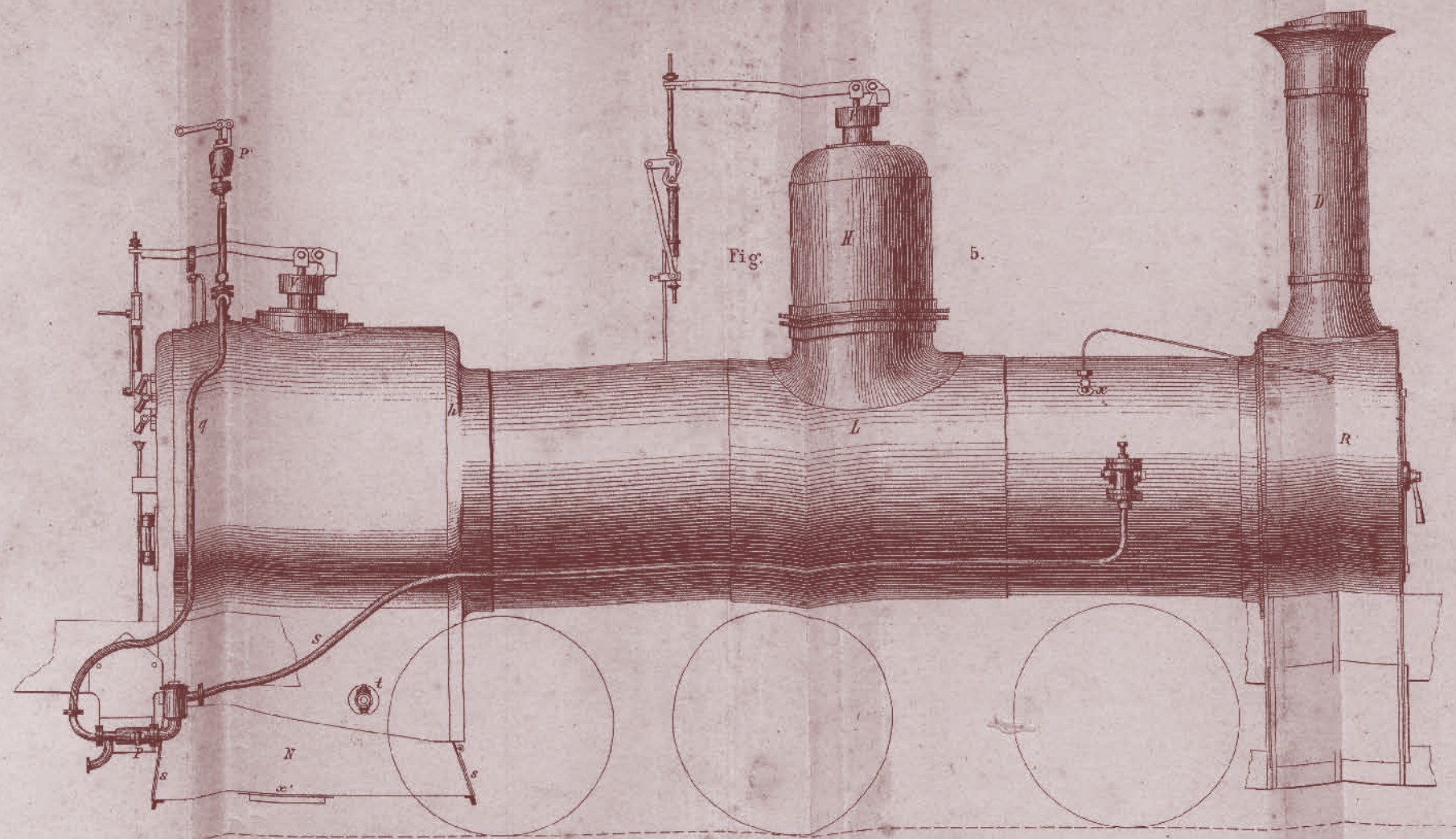
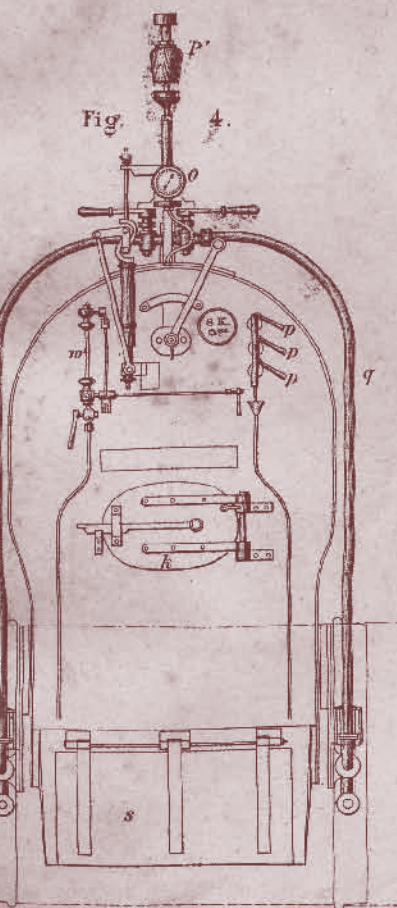
– Parowozy mają swój klimat. Ten zapach, ten turkot. Problem tylko z pyłem węglowym... Wiesz, ile razy maszyniści przybiegali do mojego mieszkania, żeby przemyć sobie wodą oczy? Tak ich piekły od tego pyłu!

– Mieszkałeś tutaj?

– Tak, i pracowałem. O, tam – maszynista wskazał Filckowi pustą przestrzeń obok peronów. – Tam stał budynek pierwszego otwockiego dworca i to właśnie w nim dostałem swoje pierwsze, służbowe mieszkanie. Na początku wcale mi się nie podobało. Było na piętrze, a na parterze toczyło się całe dworcowe życie: kasy, bufet, rampa do rozładowywania wagonów towarowych. Cały czas ktoś się kręcił, pokrzykiwał, hałasował. Na początku strasznie mi to przeszkadzało. Ale potem się przyzwyczaiłem i bardzo polubiłem to miejsce. A jeszcze przyjemniej zrobiło się, kiedy dworzec przeniesiono do nowego budynku.

– A ty zostałeś w starym? – domyślił się Filcek.

– No właśnie. Wyremontowano go i oprócz mnie zamieszkali w nim jeszcze inni pracownicy kolei. Spę-



dziłem tu jeszcze kilka lat, dopóki nie przeniesiono mnie do Warszawy.

Filcek nie dosłyszał ostatnich słów. Uświadomił sobie coś dziwnego. Co jakiś czas ktoś przechodził obok nich. I nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby nie wygląd niektórych przechodniów. Część kobiet nosiła długie suknie, obcisłe u góry i rozłożyste u dołu. Inne miały krótkie, luźne sukienki, przewiązane w talii szarfami. Mężczyźni najczęściej byli ubrani w smokingi, garnitury i białe koszule, niektórzy mieli skromniejsze stroje: lekko przetarte marynarki, niepasujące do nich spodnie czy też mocno znoszone buty. Ci przechodnie widzieli zarówno Filcka, jak i zawiadowcę. Przechodząc obok, kiwali przyjaźnie głowami na powitanie, a zawiadowca w odpowiedzi uchylał czapki. Filcek miał wrażenie, że ich po-

stacie, a także postać samego zawiadowcy są lekko zamglone. Czasem jednak pojawiali się ludzie ubrani i uczesani podobnie jak Agnieszka i jej rodzice. Filcek widział ich wyraźnie, lecz oni zdawali się zupełnie nie dostrzegać jego ani zawiadowcy.

– Powiedz mi – zwrócił się do zawiadowcy – czy ci ludzie, którzy ci się kłaniają, to też duchy?

– Oczywiście. Za życia mieszkali w Otwocku albo tu przyjeżdżali. Są też duchy, które po prostu zwiedzają świat i przypadkiem tu wpadły. Ale tych jest mało. Teraz będziesz miał dużo czasu, żeby wszystkich poznać. Najczęściej kręcą się w miejscach, które są im bliskie. Ci, których widzisz tutaj, to miłośnicy podróży. Wcale nie muszą jeździć pociągami, bo potrafią poruszać się bardzo szybko, ale po prostu to lubią. Zresztą nie dziwię im się – roześmiał się zawiadowca.

– Czyli wszystkie duchy mnie widzą i mogą z nimi rozmawiać. A co z żywymi ludźmi?

– Nie widzą cię i nie słyszą, chociaż ty widzisz i słyszysz ich wyraźnie. Nie mają pojęcia o twojej obecności.

– To znaczy, że nie uda mi się skontaktować z Agnieszką!

– Niestety.

– Ale ja muszę ją odnaleźć! Musi być jakiś sposób, aby się z nią porozumieć!

– Na twoim miejscu dałbym sobie spokój. Pewnie szybko o tobie zapomni, kupi sobie jakąś nową zabawkę i będzie szczęśliwa.

– Na pewno nie!

– Tak ci się tylko wydaje. Ale jeśli koniecznie chcesz

do niej wrócić, to widzę tylko jeden sposób: musisz znów stać się maskotką.

Takie rozwiązanie również nie zachwyciło Filcka. Bycie duchem było znacznie ciekawsze od bycia zwykłą przytulanką. Mimo to spytał:

– Jak miałbym to zrobić?

– Musisz znaleźć maskotkę, która się z tobą zamieni.



Pamiętaj, maskotkę, a nie jakąś inną zabawkę, lalkę czy samochodzik. Znajdujesz kandydata na ducha, przyprowadzasz go tu w następną pełnię księżyca i zostawiasz na peronie. Jak nasza lokomotywa–widmo przejedzie i zagwiżdże, to on zamieni się w ducha, a ty na powrót staniesz się kotem z filcu.

– Hmm, to nie wydaje się trudne. Agnieszka ma tyle zabawek, że na pewno coś znajdzie.

– Czekaj! To nie takie proste. To nie może być zwykła maskotka. Musi należeć do kogoś, kto sam jest duchem.

– Jak niby miałbym taką znaleźć?

– Nie wiem. Szukaj, pytaj, odwiedzaj stare domy. Próbuj. To miasto jest pełne duchów. Może któryś z nich jakoś ci pomoże. Ale najpierw dobrze się zastanów, czy na pewno tego chcesz. Do następnej pełni został

cały miesiąc, więc masz sporo czasu. A teraz chodź, pokażę ci dworzec.

– Po co miałbym oglądać dworzec?

– Bo to jedno z najpiękniejszych miejsc w Otwocku. Zobacz, jaką ma ciekawą konstrukcję. Chodźmy do środka.

Ruszyli w kierunku wejścia. Automatyczne drzwi rozsunęły się przed nimi..

– Ojej, jaka ogromna hala! – wyrwało się Filckowi. Rzeczywiście, wewnątrz budynku wyglądało imponująco. Sufit znajdował się tak wysoko, że pomiędzy nim a podłogą z powodzeniem zmieściłyby się dwa piętra. Wysoko w górze były niezbyt wielkie, półokrągłe okna oraz nastrojowe lampy, które oświetlały drewniany sufit. Dworcowa hala była prawie pusta – na samym środku stał sześciokątny kiosk, z boku

kilka ławek, a na jednej ze ścian kasy. Tuż obok nich Filcek zobaczył drzwi do zamkniętego o tej porze sklepiku z pamiątkami oraz kawiarni.

– I to wszystko? – zapytał nieco zawiedziony.

– Wszystko. A co twoim zdaniem powinno tutaj jeszcze być?

– Nie wiem... Myślałem, że w takim ogromnym budynku można robić coś więcej niż kupić bilety i czekać na pociąg

– Przecież na dworcu właśnie kupuje się bilety i czeka na pociągi! Moim zdaniem to jeden z najpiękniejszych starych dworców. A widziałem ich wiele.

Filcek poczuł, że chyba nie ma ochoty rozprawić dłużej o dworcach. Otwocka stacja kolejowa z pewnością mogła podobać się podróżnym, ale Filcek uznał, że zwiedza ją już wystarczająco długo.

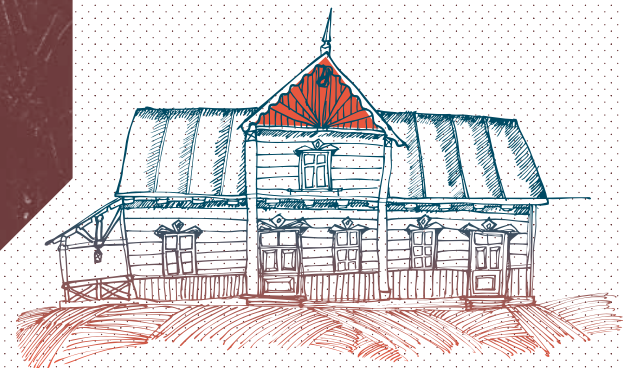
– Na mnie już pora – oznajmił. – Muszę odnaleźć Agnieszkę.

– Cóż, powodzenia – odparł zawiadowca. – Ja też wracam do swoich spraw. Gdybyś mnie potrzebował, zawsze możesz mnie tu znaleźć.

– Dziękuję. Pewnie się jeszcze spotkamy.

Zawiadowca odwrócił się i odszedł. Filcek został sam. Nie wiedział, od czego zacząć. Nie był pewien, czy w ogóle chce znów stać się maskotką. A z drugiej strony tęsknił za Agnieszką tak bardzo, że zrobiłby chyba wszystko, żeby tylko ponownie znaleźć się obok niej.

Wyszedł z dworca frontowymi drzwiami i energicznie ruszył przed siebie. Tak czy inaczej, ma jeszcze cały miesiąc na podjęcie decyzji. Ale najpierw odnajdzie Agnieszkę.



ROZDZIAŁ
czwarty

Filckowi wydawało się, że wie, jakiego domu powinien szukać, bo dobrze przyjrzał się budynkowi, o którym dziewczynki rozmawiały z mamą w pociągu. Okazało się jednak, że w Otwocku podobnych domów jest całkiem sporo. Sprawdzenie każdego z nich byłoby dosyć czasochłonne i męczące. Podczas poszukiwań Filcek odkrył coś niezwykłego: kiedy wystarczająco mocno się rozpędził, jego łapki nagle przestawały dotykać ziemi, a on sam poruszał się z prędkością wyścigówki.

Tak go to zachwyciło, że postanowił sprawdzić, czy ma również inne umiejętności duchów. Na pierwszy ogień poszło przechodzenie przez ściany. Najpierw spróbował delikatnie włożyć łapkę w mur. Bez skutku – łapka dotknęła zimnej ściany i tyle. Nie zniechęcił się i uznał, że należy użyć siły. Uderzył łapką w ścianę

i żałośnie miauknął z bólu. Nie zamierzał się jednak poddać. Słyszał kiedyś, że duch może przejść przez ścianę tylko wtedy, kiedy sam nie ma cienia wątpliwości, że mu się uda. Filcek pozbył się więc ostatnich wątpliwości.

– Dobra – powiedział do siebie. – Ostatnia próba. Raz kozie śmierć!

To mówiąc rozpędził się i ruszył biegiem w kierunku muru.

Ocknął się kilka chwil później. Wciąż znajdował się w tym samym miejscu. Świat wirował mu przed oczami, a w głowie czuł bolesne pulsowanie.

– A więc to nieprawda – pomyślał. – Duchy nie przechodzą przez ściany – rozczarowany i zmęczony zwinął się w kłębek i zasnął pod najbliższym krzakiem jaśminu.

Obudził się o świcie. Ulice ciągle były puste, a podwórka ciche. Filcek wylizał swoje futerko, dzięki czemu znów stało się miękkie i błyszczące, po czym wyruszył na dalsze poszukiwania. Szczęście mu sprzyjało. Zaraz za rogiem zobaczył samochód rodziców Agnieszki.

– Nigdzie go nie ma, Agnieszce będzie przykro...

– usłyszał głos taty, który właśnie wsiadał do samochodu. Filcek już chciał podbiec i wskoczyć na siedzenie, kiedy drzwi się zamknęły i samochód ruszył. Przez chwilę Filckowi wydawało się, że stracił jedyną okazję na odnalezienie Agnieszki, ale potem przypomniał sobie o nowo odkrytych zdolnościach. Pomknął jak strzała za samochodem, niewidzialny dla otoczenia.

Samochód zatrzymał się przed starym drewnianym domem. Widać było, że odnowiono go naprawdę starannie. Cały był pomalowany na ciemnozielono. Niektóre deski musiały być wymienione całkiem niedawno. Nowe wydawały się także okna, jednak uwagę przykuwało to, co było nad i pod nimi. Wycięte w drewnie fantazyjne zawijasy musiały być dziełem prawdziwego mistrza stolarskiego.

Filcek powoli ruszył w kierunku wejścia. Do środka wchodziło się przez dużą werandę, która – w przeciwieństwie do pozostałej części domu – sprawiała wrażenie nieco zaniedbanej. Była obita dekoracyjnymi deseczkami, z których część dawno wypadła. Piękne trójkątne zwieńczenie werandy też było trochę wyszczerbione.

Ku zdziwieniu Filcka drzwi wejściowe były lekko uchylone. Minął je i znalazł się w szerokim korytarzu. Po prawej stronie widział obszerną kuchnię, po lewej zaś – zamknięte drzwi, prawdopodobnie do łazienki. Przed sobą miał schody na piętro, a za nimi kolejne uchylone drzwi prowadzące do sypialni rodziców. Pokoje dziewczynek musiały zatem znajdować się na piętrze. Filcek wspiał się po schodach. Po chwili stanął przed dwiema parami identycznych drzwi. Przeszedł przez pierwsze i zobaczył swoją ukochaną Agnieszkę śpiącą na łóżku.

Bez trudu poznał, że ona też za nim tęskni. Na podłodze wokół łóżka walały się zużyte chusteczki do nosa, a powieki dziewczynki były opuchnięte od płaczu. Zrobiłby teraz wszystko, żeby ją pocieszyć.

Mógł jednak tylko wskoczyć na łóżko i położyć się tuż obok niej.

Z dołu doszły Filcka urywki rozmowy rodziców:

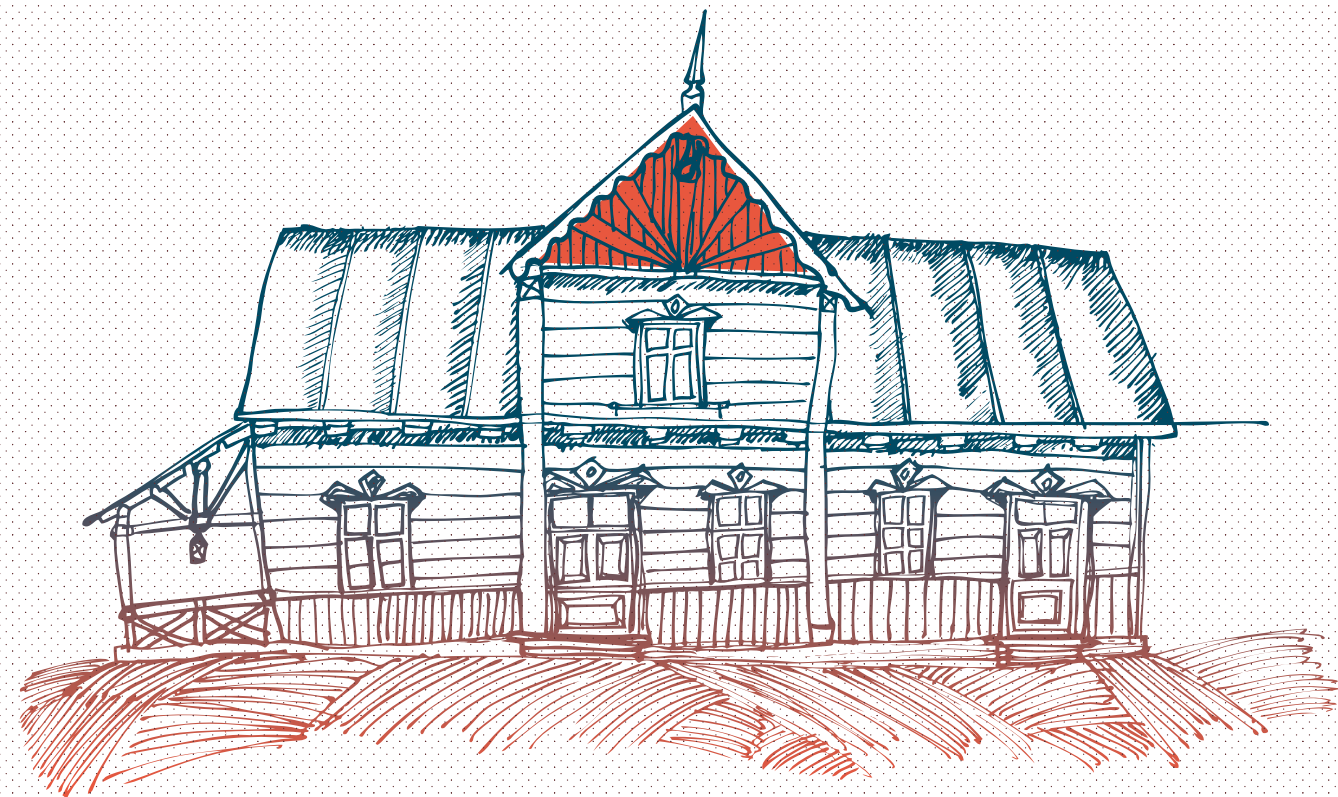
– I co? Znalazłeś? – zapytała z niepokojem mama.

– Nie. Ani śladu. Trzy razy sprawdziłem dokładnie drogę od nas do stacji i nic. Biedna Agnieszka.

Filcek zorientował się, że rodzice mówią o nim. Nic dziwnego, że go nie znaleźli...

Tata mówił dalej:

– Mam pomysł. Kiedy dziewczynki wstaną, obejrzymy sobie dokładnie dom, a potem zabiorę je do stolarza. W warsztacie obiecali mi, że na dzisiaj będą gotowe pozostałe tralki do werandy. Musimy zapewnić Agnieszce zajęcie, żeby przestała się tak martwić o tego Filcka.



W tym samym momencie Agnieszka zaczęła się wiercić. Usiadła na łóżku, rozejrzała się wokół, jakby usiłowała się zorientować, gdzie się właściwie znajduje. Chwilę później widocznie przypomniała sobie wszystko, co wydarzyło się poprzedniego dnia. Buzię wykrzywił jej grymas płaczu. Wstała z łóżka i pędem zbiegła na dół. Filcek, rzecz jasna, podążył za nią.

– Znaleźliście go? – spytała z nadzieją w głosie. Miny rodziców wystarczyły jej za odpowiedź.

– Kochanie, wiem, jak ci przykro – mama przytuliła szlochającą Agnieszkę.

Filcek ze smutkiem obserwował całą sytuację. Zastanawiał się, czy powinien jakoś dać znać o swojej obecności. Może by tak zebrać siły i strącić na podłogę tę wielką donicę z paprotką? A może ni z tego, ni z owego wylać mleko ze stojącego na stole dzbanka?

Nieeee... Przecież i tak nie domyśla się, że to on.

Przy śniadaniu Agnieszka nadal była smutna. Zjadła niewiele, nie cieszyło jej nawet oglądanie domu z rodzicami i Martą. Niechętnie ruszyła za młodszą siostrą, a Filcek siedł tuż obok niej.

Musiał przyznać, że nowe mieszkanie rodziny podobало mu się bardziej niż poprzednie. W środku zupełnie nie było widać, że dom ma prawie sto lat. Tylko niektóre elementy przypominały o jego prawdziwym wieku, ale to właśnie one decydowały o urodzie wnętrza. Wyjątkowe były pięknie zdobione kręte schody i urokliwe małe, okrągłe okna w korytarzu na piętrze. Przytłaczające wrażenie sprawiały tylko wysokie, wąskie drzwi do poszczególnych pomieszczeń. Filcek uznał, że dom stałby się znacznie bardziej przytulny, gdyby zastąpiono je niższymi.

W łazience czekała na nich przykra niespodzianka.

– O nie! – jęknęła mama. – Grzyb!

Ściana pod oknem upstrzona była mniejszymi i większymi czarnymi plamkami.

– Mogliśmy się tego spodziewać – powiedział tata. – Całe szczęście, że pojawił się tylko tutaj. Ten dom nie był ogrzewany przez całe dziesięciolecie.

– Jak to nie był ogrzewany? – zdziwiła się Marta.

– Pierwsi właściciele planowali, że będą tutaj mieszkać tylko latem, dlatego nie zawracali sobie głowy ogrzewaniem wszystkich pomieszczeń. Na wszelki wypadek, gdyby lato było wyjątkowo zimne, zbudowali piec kaflowy, który widzieliście w naszej sypialni. Tyle tylko, że taki piec nie starczał na cały dom. Na szczęście my nie musimy obawiać się zimy, bo ogrzewanie udało się już zainstalować, ale myślę,

że czasem może być przyjemnie rozpaść w takim starodawnym piecu kaflowym. A łazienkę trzeba będzie porządnie wysuszyć, a potem zobaczymy.

W końcu do obejrzenia zostało już tylko jedno pomieszczenie.

– Teraz najlepsze: strych! – zakomenderował tata i z miną żądnego przygód poszukiwacza skarbów ruszył w stronę wąskich schodów prowadzących na poddasze. – Postanowiliśmy z mamą poszperać tam dopiero, kiedy już się wprowadzimy. Nie chcieliśmy tego robić bez was.

Podeksytowana Marta przeskakiwała po dwa stopnie naraz. Agnieszka szła na końcu z miną osoby, która chciałaby, żeby ją zostawić w spokoju.

Strych był duży, ciemny i nie było tam prądu. Przez ścianę wpadały do środka pojedyncze promienie

słońca. Tata włączył latarkę. Cały strych był zagrany. W rogu piętrzyły się połamane części drewnianych mebli, krzesła bez siedzisk, zardzewiałe ramy łóżek, gdzieś w kącie wałyły się stare gazety i pocztówki. Wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu.

– Zobaczcie, jakie ładne są te krzesła! Może je znieśmy na dół i spróbujemy odnowić, pomalować, zrobić nową tapicerkę?

Ani mama, ani dziewczynki nie okazały zbytniego entuzjazmu. Marta grzebała w stercie starych kolorowych magazynów, mama zaś rozglądała się wokół, oceniając, jak długo będzie trwało sprzątnięcie tego całego bałaganu. Nawet Agnieszka ożywiła się i właśnie kartkowała znaleziony gdzieś poślizgnięty zeszyt. Trudno uwierzyć, że w panujących na strychu ciem-

nościach cokolwiek w nim widziała, ale wyglądała na bardzo zainteresowaną.

– Musimy doprowadzić tutaj prąd i zrobić porządek – podsumowała mama. – Boję się nawet pomyśleć, ile tu musi być robactwa!

Słowo „robactwo” musiało mieć jakąś niezwykłą moc, obie dziewczynki bowiem jak na komendę porzuciły przeglądane przedmioty i ruszyły w kierunku schodów. Już tylko tata chciał dalej grzebać w starociach, ale i on – popędzany niecierpliwymi nawoływaniem reszty rodziny – po chwili ruszył do drzwi. Filcek był zawiedziony, że już idą. To przecież takie wspaniałe miejsce! Mógłby tu spędzić cały dzień albo nawet kilka. Kto wie, może w tych stertach różnych rzeczy ukrywa się maskotka, która przy najbliższej

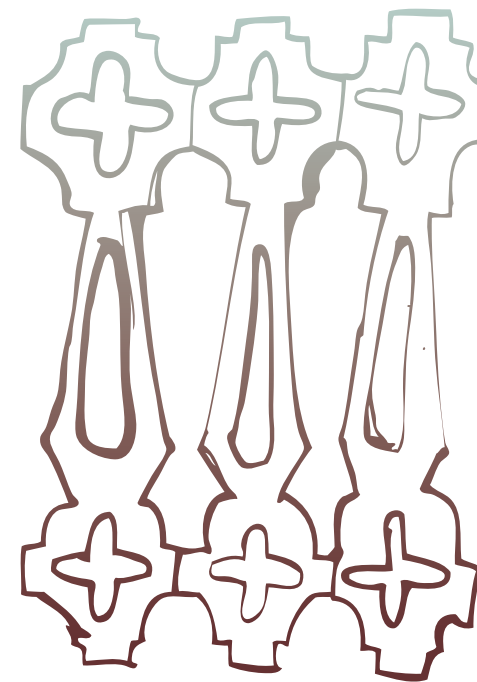
pełni księżycy mogłaby zająć jego miejsce. Zdecydowanie musi tu wrócić i jeszcze raz dokładnie wszystko obejrzeć!

Kilka chwil później cała rodzina była już na dole. Mama zabierała się do rozpakowywania kartonów przywiezionych z poprzedniego mieszkania,

– Może pójdziemy do stolarza po brakujące tralki? – zaproponował tata, biorąc córki za ręce.

– Co to są tralki? – zapytała Agnieszka.

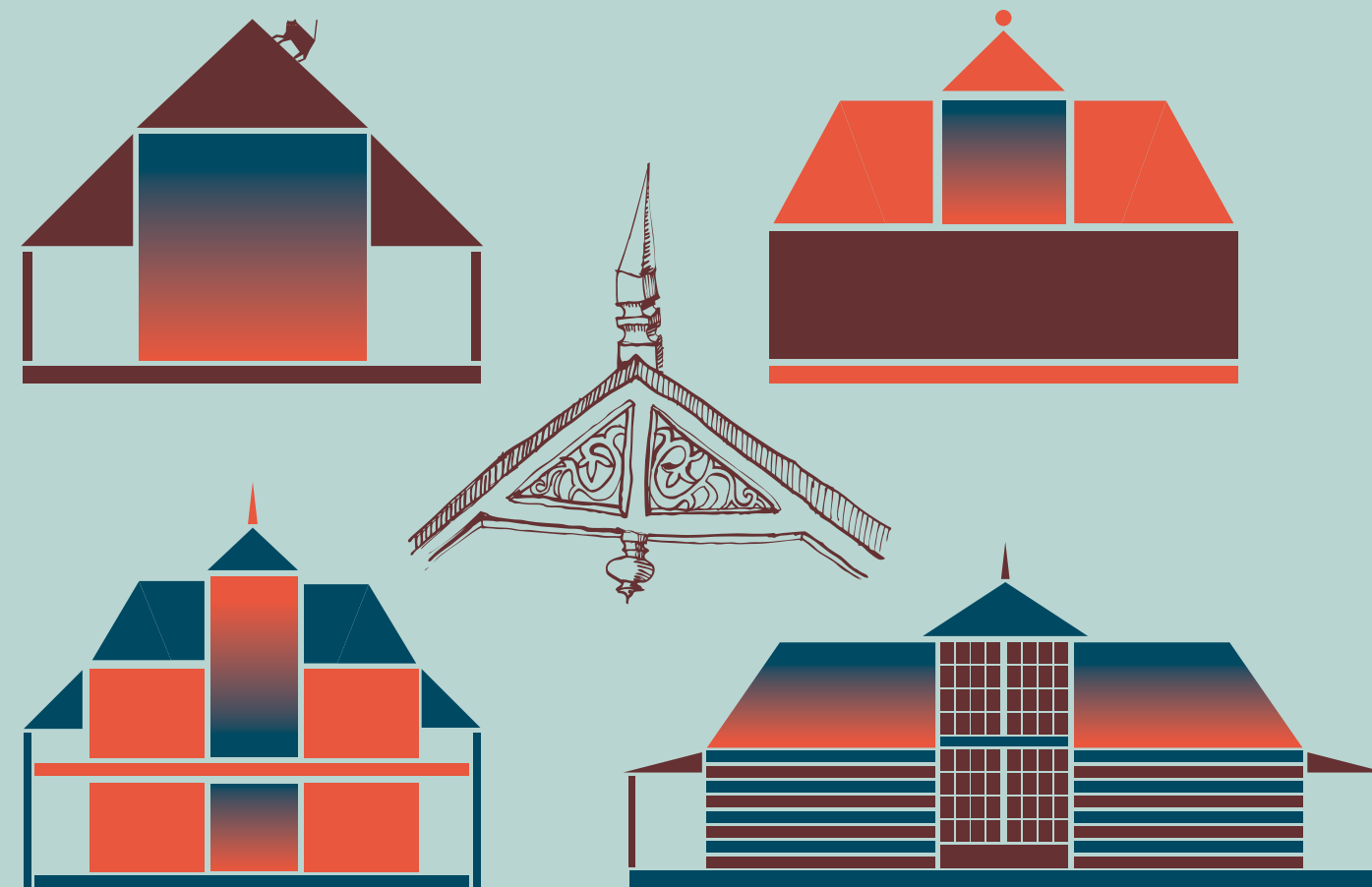
– To te pionowe ozdobne deseczki, które otaczają naszą werandę. Jak widzicie, nie wszystkie przetrwały do dziś. Brakuje nam dokładnie siedmiu, ale są już gotowe i czekają na nas w warsztacie stolarskim. Idziemy?



Pracownia stolarza znajdowała się w centrum Otwoc-ka. Po drodze tata i Marta uważnie przyglądali się miastu, natomiast Agnieszka cały czas patrzyła pod nogi, szukając ukochanego filcowego kota. Oczywiście – bez skutku.

Stare drewniane domy wyłaniały się nagle spośród drzew, nie brakowało także nowoczesnych budynków, które lepiej lub gorzej komponowały się z otoczeniem. Ulicami spacerowali ludzie, ale Filcek zorientował się, że od rana nie widział ani jednego ducha. Kiedy przypomniał sobie dziesiątki duchów, które mijały go na stacji kolejowej, zaczął się zastanawiać, dlaczego teraz nie może spotkać żadnego. A może duchy mogą spotykać się jedynie nocą? Koniecznie trzeba to zbadać.

Właściciel warsztatu okazał się młodym, sympatycznym człowiekiem. Widać było, że tata Agnieszki świetnie się z nim dogaduje. Panowie pograżyli się w emocjonującej rozmowie na temat rodzajów drewna, drewnianych ozdób oraz narzędzi służących do ich wykonywania, natomiast dziewczynki z zaciekawieniem zwiedzały warsztat. Filcek widział, że Agnieszka powoli odzyskuje zainteresowanie otoczeniem. Trochę go to uspokoiło, ale czuł się nieco rozczarowany. Czyżby już przestawała za nim tęsknić? Postanowił jednak rozejrzeć się po warsztacie pełnym niezwykłych przedmiotów. Ze wszystkich rozrzuconych na długich stołach narzędzi Filcek potrafił rozpoznać jedynie piły, świdry i dłuta, a i te występowały tu w różnych rozmiarach i kształtach. Przeznaczenia reszty mógł się jedy-

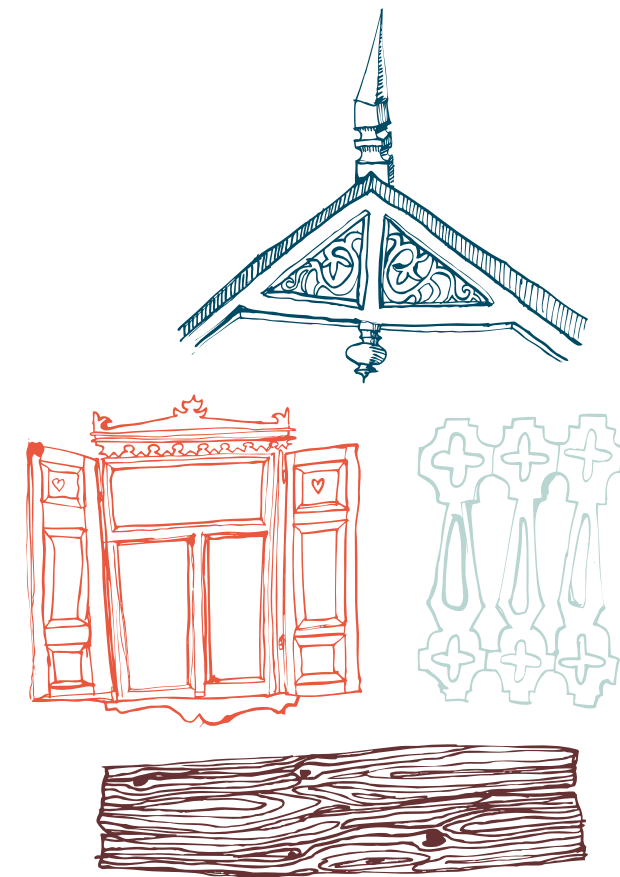


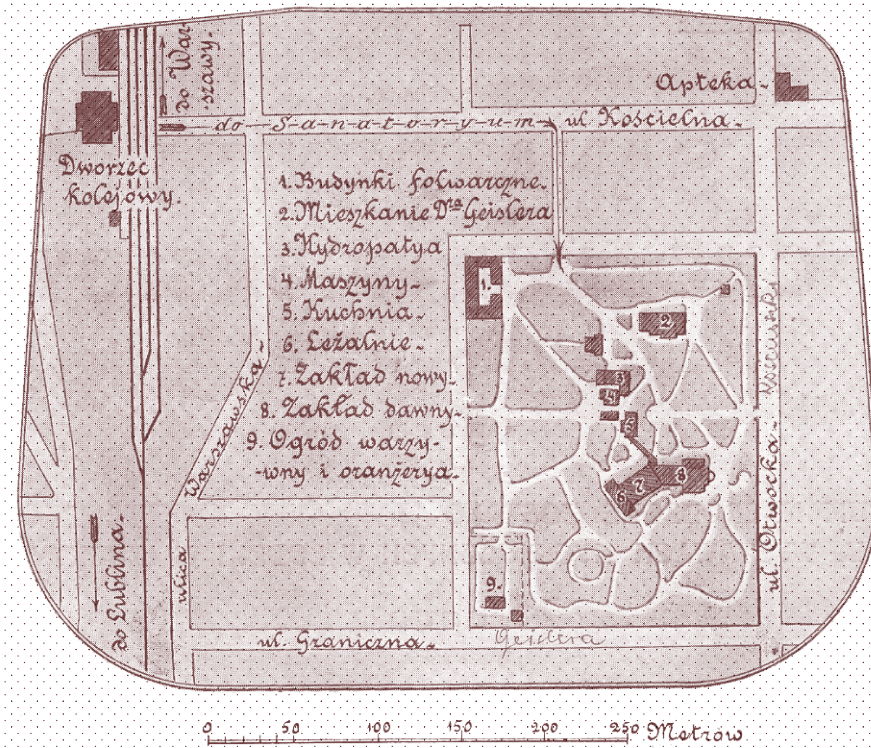
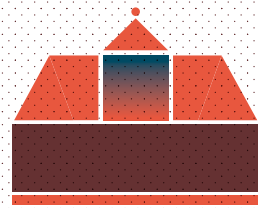
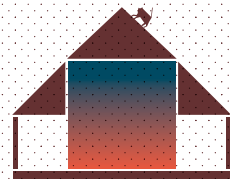
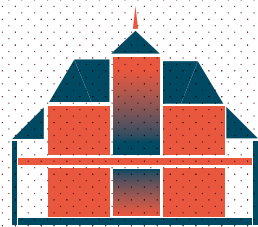
nie domyślać. Na stołach leżały też różnego rodzaju drewniane elementy – poczynając od zwyczajnych cienkich deseczek, aż po skomplikowane, pełne zawijasów ozdoby, w których można było rozpoznać fragmenty trójkątnych zwieńczeń dachów i werand.

– Dziewczynki, idziemy! – zawołał nagle tata, przerywając Agnieszce, Marcie i Filckowi zwiedzanie warsztatu.

Siostry, nieco już znudzone oglądaniem narzędzi, ochoczo ruszyły ku wyjściu, Filcek natomiast był niepokieszony. Nie zdążył wszystkiego zobaczyć! Właściwie mógłby tu zostać i wrócić do domu później – i tak nikt nie zauważył jego zniknięcia. Przecież nawet nie mają pojęcia o jego obecności. Postanowił jednak wrócić ze wszystkimi.

W domu tata natychmiast zabrał się za mocowanie brakujących tralek. Filckowi przypominało to trochę układanie dużych, pionowych puzzli. Połączone tralki tworzyły powtarzający się wzór, który z daleka wyglądał jak papierowa wycinanka. Po godzinie weranda była gotowa – należało jeszcze tylko pomalować całość, czym chętnie zajęły się dziewczynki. Dzięki temu każdy miał swój wkład w remont nowego domu.





ROZDZIAŁ *piąty*

Jeżeli Filckowi wydawało się, że Agnieszka pozwoli o nim zapomina, to bardzo się mylił. Wraz z nadejściem wieczoru znów zaczęła rozpaczać. Najpierw w ogóle nie chciała położyć się spać, a potem długo leżała, płacząc z tęsknoty. Wreszcie zmęczona zasnęła, snem płytkim i niespokojnym. Filcek przyglądał się jej ze smutkiem. Teraz już wiedział, że zrobi wszystko, aby powrócić pod dawną postać. Ale przecież miał jeszcze prawie miesiąc do kolejnej pełni księżyca! Może przecież wykorzystać ten czas na poznanie Otwocka. To jedyna taka szansa. Kiedy oddech Agnieszki stał się głęboki i spokojny, Filcek zeskoczył z łóżka i po chwili znalazł się na zewnątrz. Ruszył w kierunku warsztatu stolarza.

Drzwi były zamknięte, jednak Filcek dostrzegł z boku lekko uchylone okno. Bez trudu wśliznął się przez szparę i znalazł się w ciemnym pomieszczeniu. Większość narzędzi i drewnianych ozdób wciąż leżała tam, gdzie wcześniej. Pachniało świeżym drewnem, a wokół stołów piętrzyła się gruba warstwa wiórów. Na szerokim blacie leżały różnej wielkości narzędzia elektryczne. Część z nich widział już wcześniej w garażu rodziców Agnieszki, ale większość była mu zupełnie nieznana.

– Nie mogę się nadziwić, jak bardzo ułatwiają pracę – Filcek usłyszał dobiegający gdzieś z tyłu męski głos. Odwrócił się i zauważył postawnego mężczyznę ubranego w niedbały, staromodny strój, wyraźnie mówiącego do niego. Musiał zatem być duchem.

A więc wszystko się zgadza – wygląda na to, że duchy mogą się spotykać tylko w nocy.

– Mówisz o tych narzędziach? – zapytał kot.

– Tak. Za moich czasów wszystko musieliśmy robić ręcznie.

– To znaczy, że też jesteś stolarzem?

– Byłem. Michał i Zosia, którzy teraz prowadzą ten warsztat, są moimi prawnukami. To taka rodzinna firma, założona jeszcze przez mojego ojca. Lubię tu przychodzić i sprawdzać, jak młodzi sobie radzą. Ale najbardziej lubię oglądać te nowe elektryczne narzędzia. Dzięki nim wszystko można zrobić kilka razy szybciej!

– Umiałeś wycinać takie piękne wzory ręcznie?

– Oczywiście. To wszystko, co Michał i Zosia robią za pomocą elektrycznej wyrzynarki, ja musiałem ro-

bić ręcznie. Służyła do tego specjalna cieniutka piła – laubzega.

– Dziwne słowo...



– No tak, dość trudno je zapamiętać. Za moich czasów prawie wszyscy w Otwocku ozdabiali domy w ten sposób. Mielśmy pracy co niemiara! Zналиśmy mnóstwo wzorów tralek, podokienników, zwieńczeń werand. Pomagałem budować większość „letniaków” w Otwocku.

– „Letniaków”?

– Ach, ty pewnie nazywasz te domy „świdermajerami”! Dla nas to były „letniaki”, bo najczęściej nadawały się do zamieszkania tylko latem. A jest jeszcze trzecia nazwa – „andriollówki”.

– Dziwna.

– Rzeczywiście, brzmi obco, prawda? Wzięła się od nazwiska ich twórcy, Michała Elwiro Andriollego. Był Polakiem, ale miał włoskich przodków – stąd jego nazwisko. Dużo jeździł po świecie i patrzył,

jak wyglądają domy w różnych miejscach Europy. Połączył wszystko, co podobało mu się najbardziej, i wyszły z tego właśnie „andriollówki”.

– To on wybudował wszystkie te stare domy w Otwocku?

– Nie – roześmiał się stolarz – Andriolli wybudował kilka domów w swojej posiadłości nad Świdrem. Niestety, rozpadły się ze starości, a nikt w porę nie za dbał, by je uratować. Te, które do dzisiaj przetrwały w Otwocku, wybudowano później. Ale wiele z nich przypomina domy Andriollego.

– Możemy je obejrzeć?

– Oczywiście, chodźmy.

Wyszli z warsztatu. Była już głęboka noc, mimo to ulice tętniły życiem. Ubrane w staromodne stroje duchy przemikały obok, jakby miały do załatwienia



coś bardzo ważnego. Kobiety i mężczyźni, dziewczynki i chłopcy. Niektórzy witali się ze stolarzem, inni przechodzili obojętnie, jeszcze inni zajęci byli rozmową z towarzyszącymi im zwierzętami. Ci ostatni wydawali się Filckowi szczególnie dziwni, mimo że sam właśnie rozmawiał z człowiekiem. Wyglądało na to, że otwockie duchy prowadzą nocą bardzo intensywne życie.

Minęli stację kolejową, przechodząc pod wiaduktem. Chwilę później stolarz wprowadził Filcka w jakąś ciasną boczną uliczkę.

– Pokażę ci dom Edmunda Diehla.

– Czyj?

– Edmunda Diehla. To bardzo ważna postać. Napisał pierwszą książkę o Otwocku, taki przewodnik, który dzisiaj jest bardzo cennym źródłem wiedzy na temat

początków miasta. Czekaj, to nie ta ulica. Zawsze mam problem ze znalezieniem jego domu.

– Nie ma co, świetny z ciebie przewodnik – stwierdził Filcek ironicznie.

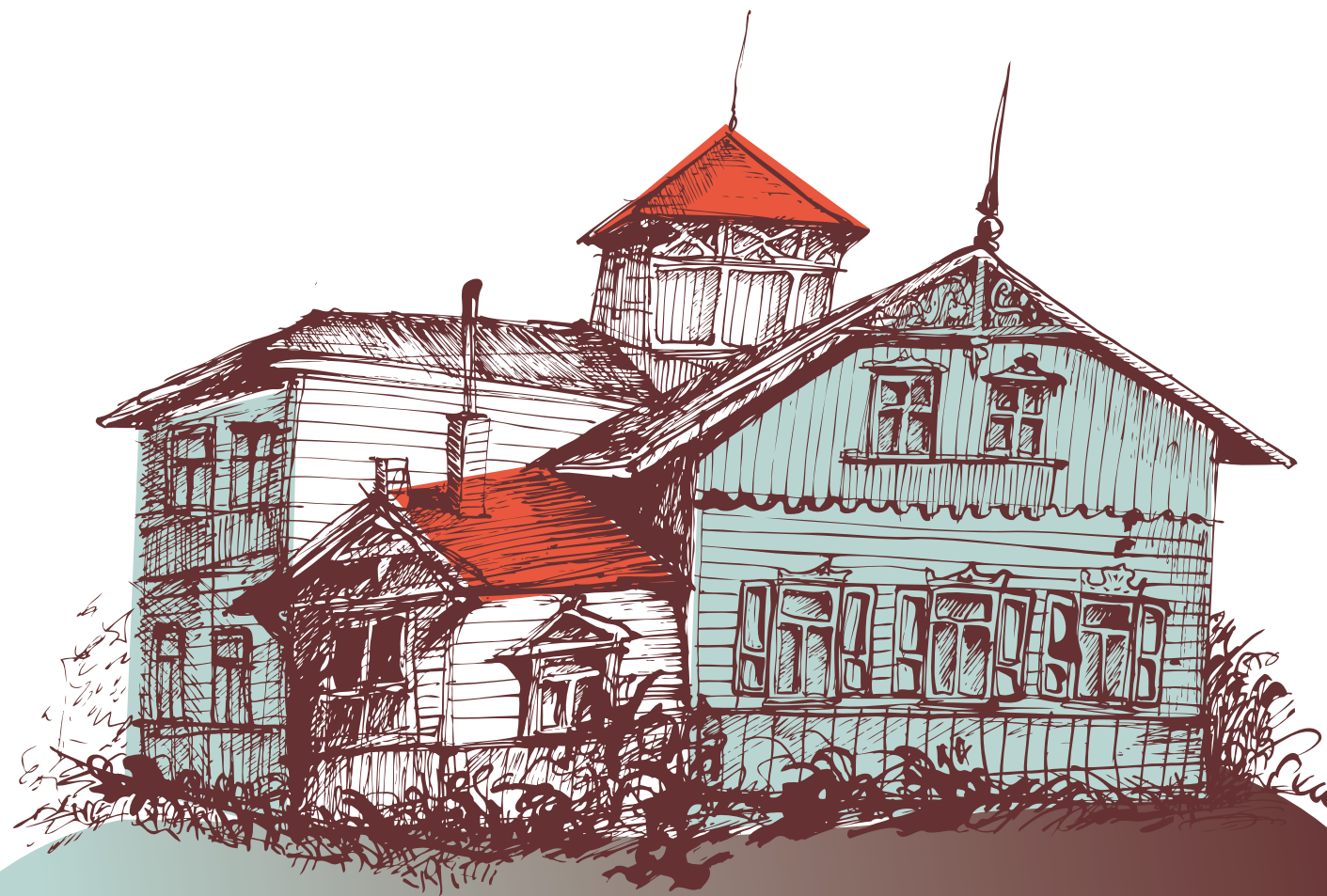
Następna uliczka, w którą weszli, również nie była tą właściwą. Ani następna. Ani kolejna.

– Może kogoś zapytamy? – zasugerował Filcek.

Uliczką przejeżdżał akurat rozklekotany wóz na wielkich drewnianych kołach. Na wozie siedział przygarbiony staruszek otoczony blaszanymi bańkami pełnymi mleka (przynajmniej tak podejrzewał Filcek). Staruszek musiał usłyszeć, że mają jakiś problem, bo zawołał:

– Zgubiliście się?

– Chyba tak, szukamy domu Diehla – odparł stolarz.



– Diehla? Ach, macie pewnie na myśli Willę Na Górcie! Wsiadajcie, podwiozę was.

Filckowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Wskoczył na wóz i usadowił się obok woźnicy. Nigdy dotąd nie widział takiego wozu.

– To tutaj. Zupełnie pomyliliście kierunki. Na przyszłość zapamiętajcie: Willa Na Górcie, ulica Kruczkowskiego. To znaczy dzisiaj jest tu ulica Kruczkowskiego, bo za moich czasów w ogóle nie miała nazwy.

– Przecież wiem, że Kruczkowskiego – powiedział rozzłoszczony stolarz, kiedy wóz zniknął za rogiem.

– Zapomniałem tylko, jak tu trafić. Każdemu może się zdarzyć.

Stali przed starym drewnianym domem z wieżyczką. Budynek wyraźnie był niedawno odmalowany, natomiast wieżyczka wyglądała na mocno zaniedbaną.

Miał mniej drewnianych ozdób niż dom Agnieszki i jej rodziców, ale za to w okiennicach wycięto małe serduszka, a okna i szczyty dachów pięknie udekorowano.

– Myślisz, że spotkamy tu tego Diehla? – zwrócił się Filcek do stolarza, wybacząc mu słabą pamięć. Ostatecznie przejażdżka wozem była całkiem przyjemna.

– Nie sądzę. Podobno teraz, kiedy jest już duchem, bardzo dużo podróżuje. Duchy z całej Polski zapraszają go, by pisał przewodniki po ich miastach! Nie mogę sobie tylko przypomnieć, jaki tytuł nosił jego przewodnik po Otwocku.

Skręcili w ulicę Kościelną. Filcek nagle zatrzymał się jak wryty. Stacja kolejowa i błądzące po niej duchy zrobiły na nim wrażenie, przejażdżka wozem w towarzystwie starego mleczarza była wielką przy-

jemnością, ale to wszystko nagle wydało się niczym w porównaniu z Kościelną. Tutaj naprawdę można było uwierzyć, że czas od stu lat stoi w miejscu. W oddali rysowała się majestatyczna sylwetka otwocznego kościoła, a z ciemności wyłaniały się kolejne „świdermajery”. Stały po obu stronach Kościelnej, a także wzdłuż krzyżującej się z nią ulicy Kościuszki. Przy każdym z nich coś się działo: w ogródku jednego hałaśliwie bawiły się bosonogie dzieci, w innym postawny mężczyzna zamyślał schody, na werandzie kolejnego dwie kobiety w długich sukniach sęczyły jakiś napój z pięknie zdobionych filiżanek. Ani jednego żywego człowieka, same duchy! Jakby tego było mało, środkiem ulicy jechał powoli przedziwny samochód. Filcek widział już kiedyś podobny pojazd. Był jeszcze wówczas maskotką i siedział bezpiecznie w plecaku

Agnieszki podczas wycieczki do muzeum motoryzacji. Ten samochód musiał być naprawdę bardzo stary. Gwałtowny okrzyk stolarza wyrwał go z zamyślenia: – Mam! Już sobie przypomniałem! Wille w Otwocku i warunki pobytu tamże!



Filcek spojrzał na niego, zupełnie nie rozumiejąc, o co chodzi.

– Taki właśnie tytuł nosi przewodnik po Otwocku napisany przez Edmunda Diehla! – dokończył dumnie stolarz.

– Aha. Cieszę się, że sobie przypomniałeś – odparł Filcek, starając się, żeby w jego wypowiedzi pojawił się choć cień zainteresowania twórczością Diehla. Ale znacznie bardziej ciekawiło go to, co działo się wokół.

– Podoba ci się tutaj, prawda? – zauważył stolarz zadowolony.

– Niesamowite miejsce – westchnął Filcek. – Co to za dom?

Stali przed niewielkim „świdermajerem” z misternie rzeźbioną werandą. Drewniane dekoracje przypominały delikatną koronkę. Na werandzie dwóch mło-

dych mężczyzn zawzięcie grało w karty.

– Tutaj? Tu chyba mieszkał Odon Bujwid.

– Ależ ci mieszkańcy Otwocka mieli dziwne imiona!

– W tamtych czasach to imię wcale nie wydawało się dziwne.

– A on też był kimś znanym?

– Tak, pierwszym polskim bakteriologiem. Prowadził badania nad wykorzystywaniem i zwalczaniem bakterii. Szczególnie interesowało go tworzenie szczepionek i jako jeden z pierwszych szczepił przeciw wściekliźnie.

– Ojej! To naprawdę ważna postać! A wiesz, kim są ci panowie? – Filcek wskazał mężczyzn grających w karty.

– Nie. Ale widzę, że absolutnie nie powinniśmy im przeszkadzać.



– Skoro tak mówisz...

Stolarz szedł energicznie w stronę ulicy Kościuszki. Filcek dogonił go. Zatrzymali się na skrzyżowaniu, tuż przy kolejnym, piętrowym „świdermajerze” stojącym na samym rogu ulic.

– A ten dom należał do Oszera Perechodnika.

– No tak, mogłem się spodziewać, że nie nazywał się Jan albo Mateusz.

– To prawda – uśmiechnął się stolarz. – Spójrz, jaki to wspaniały dom! Prawdziwa wizytówka Otwocka! Przed wojną często pojawiał się na zdjęciach i pocztówkach. Od tamtego czasu mało się zmienił i cały czas coś się w nim dzieje.

Filcek przyjrzał się budynkowi. Część parteru pomalowano na niebiesko. Nad wejściem widniał wielki napis STOMATOLOG. W tym samym budynku, również na par-

terze, znajdował się sklep spożywczy. Z piętra też ktoś korzystał. Dom nie tylko był wyjątkowo duży, ale miał także okazałe werandy, stylowe dekoracje okien oraz narożny balkonik, jakiego z pewnością nie miał żaden inny dom w Otwocku.

– I ten Perechodnik mieszkał w takim wielkim domu?

– Nie, ten dom był jego własnością, ale on sam mieszkał tam – stolarz wskazał w głąb ulicy Kościelnej. – Tutaj jednak wiele się działo. Dawniej było to jedno z najważniejszych miejsc w mieście. Klub „Spójnia” miał tu swoją siedzibę, tutaj odbywały się pierwsze posiedzenia Rady Miasta i występy otwockiego zespołu teatralnego.

– A tamten budynek? – Filcek wskazał narożny drewniany dom po drugiej stronie ulicy. Pewnie nie zwróciłby na niego uwagi, gdyby nie oryginalne schodki prowadzące do budynku wprost z chodnika. Potężny

wąsaty mężczyzna właśnie je zmiatał.

– To Willa Podole. Dawna apteka. Działała bez przerw przez 94 lata. Wyobrażasz sobie? 94 lata! Chodź, przywitamy się z Ambrozym. To mój dobry kolega ze szkoły.

Podeszli do dozorczy, ale ten wydawał się tak pogrążony w pracy, że nawet nie zwrócił na nich uwagi. Ruszyli więc ulicą Kościuszki, po drodze mijając jeszcze kilka starych „świdermajerów”. Filcek wyobrażał sobie przedwojenny Otwock, pełen malowniczych drewnianych domów. Wycieczka powoli dobiegała końca.

– Pokażę ci tylko jeszcze jeden budynek, dobrze? – zaproponował stolarz.

Przeszli przez zamknięty przejazd kolejowy. Wzdłuż ulicy ciągnęło się długie ogrodzenie. Zza niego z ciemności wyłaniał się największy drewniany budynek, jaki Filcek kiedykolwiek widział.



– Piękny, prawda? – zapytał stolarz.

Zachwycony Filcek nie odpowiedział. Szedł wzdłuż ogrodu i w milczeniu podziwiał dom, który składał się z kilku połączonych ze sobą skrzydeł. Z każdej strony widać było werandy, tarasy, dobudówki, balkoniki... Całość ozdobiono różnymi dekoracjami, wycinanymi w drewnie. Zakładając, że wszystkie były wycinane ręcznie, ich przygotowanie musiało zająć wiele lat!

– Zastanawiasz się pewnie, jak długo powstawał ten dom – powiedział stolarz, jakby czytał w Filkowych myślach. – Budowano go kilkanaście lat. Zaczęło się od zupełnie przeciętnej, niezbyt dużej willi, do której potem dobudowywano kolejne skrzydła. Właściciel, Abram Gurewicz, otworzył tu luksusowy pensjonat. Jego goście mogli na co dzień korzystać

z elektryczności, bieżącej wody, a nawet z telefonu!

– Ha ha! – parsknął Filcek – Przecież w każdym domu jest prąd i bieżąca woda!

– Teraz jest – roześmiał się stolarz – ale sto lat temu to był prawdziwy luksus. W dodatku wokół pensjonatu rozciągał się wspaniały ogród. Ale wszystko skończyło się z nadejściem drugiej wojny światowej.

– Teraz nic się tutaj nie dzieje?

– Nie wolno tam wchodzić, bo podobno dom grozi zawaleniem. Na ścianach wykwitł grzyb i pleśń. Nam już raczej nic nie zaszkodzi, więc jeśli chcesz, możemy spróbować wejść do środka – powiedział stolarz.

– Może następnym razem. Powinienem już wracać do Agnieszki.

– To musimy się jeszcze spotkać. A może odprowadzić cię do domu?

– Trafisz z powrotem do swojego warsztatu? Trochę się boję, że znów zawiedzie cię pamięć – zażartował Filcek.

– Jak chcesz – prychnął stolarz. Odwrócił się na pięcie i już miał odejść, ale Filcek szybko dodał:

– Przepraszam. Tylko żartowałem, nie gniewaj się. Będzie mi bardzo miło, jeśli mnie odprowadzisz. I powoli ruszyli razem w kierunku domu Agnieszki.





ROZDZIAŁ
szósty

Przez cały następny tydzień Filcek towarzyszył Agnieszce i jej rodzinie w urządzaniu nowego domu. Dziewczynka z każdym dniem wyglądała na coraz bardziej pogodzoną z myślą, że być może już nigdy nie odnajdzie swojej ukochanej przytulanki. Tylko wieczorami cicho popłakiwała w poduszkę. Filcek nie miał już żadnych wątpliwości, że chciałby na powrót stać się zabawką i wrócić do swojej właścicielki.

Nocami, gdy Agnieszka już spała, wyruszał na spacer ulicami miasta. „Świdermajery” nie przestawały go zachwycać. Odnajdywał kolejne stare drewniane domy, budowane w tym charakterystycznym dla Otwocka stylu. Czasami udawało mu się wejść do środka i obejrzeć wnętrze. Najczęściej wychodził rozczarowany, bo wydawały mu się albo zbyt nowoczesne

i pozbawione uroku, albo zbyt zaniedbane, a nawet zrujnowane. Z tego powodu ciągle nie mógł się zdecydować na wejście do pensjonatu Gurewicza – wolał nie psuć sobie wspaniałego pierwszego wrażenia, jakie wywarł na nim ogromny budynek.

Kiedy uznał, że wystarczająco dokładnie obejrzał już wszystkie otwockie „świdermajery”, postanowił odnaleźć miejsce, w którym rozpoczęła się ich historia – posiadłość Michała Andriollego. Problem w tym, że nie bardzo wiedział, gdzie dokładnie powinien jej szukać. Stolarz wspominał coś o rzece Świder...

Trzeba wrócić do warsztatu i dopytać stolarza! Na pewno wie coś więcej. Późnym wieczorem Filcek wlaź oknem do stolarni. Czekał ponad godzinę, ale duch się nie pojawił. Co tu robić?

Zniechęcony wyszedł na ulicę. Przez kilkanaście minut błądził po mieście bez celu. W pewnej chwili zorientował się, że opuścił już centrum i od dłuższego czasu idzie wzdłuż ulicy Andriollego.

– Hmm, skoro to ulica Andriollego, to może doprowadzi mnie do jego posiadłości nad Świdrem – pomyślał.

Tymczasem okolica robiła się coraz bardziej tajemnicza. Po lewej stronie ulicy ciągnęło się ogrodzenie miejskiego parku, dalej zaś mroczny mur cmentarza. Po prawej budynki szybko ustąpiły miejsca lasowi. Za cmentarzem ulica całkowicie znikwała w lesie. Filcek przez chwilę zastanawiał się, czy iść nią dalej czy może skręcić w bok w równie szeroką ulicę Narutowicza. Zdecydował się na to drugie.

Tuż za rogiem zobaczył umieszczony wysoko na słupie drogowskaz z napisem MUZEUM.

– Nie miałem pojęcia, że w Otwocku jest muzeum! No cóż, skoro nie udało mi się znaleźć posiadłości Andriollego, to przynajmniej obejrzę sobie jakąś wystawę – pomyślał Filcek i ruszył za drogowskazem.

Po kilku chwilach stał przed majestatycznym budynkiem, który przypominał stary dworek. Drzwi były zamknięte na klucz, ale Filcek bez trudu dostał się do środka przez niedomknięte piwniczne okienko. Wąskimi schodami wyszedł z piwnicy i znalazł się w obszernym, ciemnym holu. Po lewej stronie zobaczył wielkie zdjęcie mężczyzny.

– To tak wyglądał Michał Elwiro Andriolli – ucieszył się Filcek i zaczął czytać jego biografię umieszczoną

obok. Wyczytał, że Andriolli był nie tylko malarzem i ilustratorem książek, ale także, że życie nie szczędziło mu przygód i niespodzianek. Dowiedział się, że jego nadświdrzańska posiadłość rozciągała się na olbrzymim terenie, a w jej obrębie udało się wybudować kilkanaście znacznie od siebie oddalonych sporych domów. Było nawet zdjęcie willi, w której zamieszkał sam Andriolli! Niestety, nie wynikało z tego, jak to miejsce odnaleźć.

Nagle usłyszał dobiegający z góry odgłos przypominający trzepotanie skrzydeł. Odwrócił się i zobaczył lecącą prosto na niego olbrzymią sowę. Wyciągała przed siebie rozcapierzone pazury, jakby miała ochotę pochwycić go i unieść w powietrze. W ostatniej chwili Filcek zdołał uskoczyć w bok. Sowa z ogromną prędkością wpadła na ścianę, po czym osunęła się

na podłogę. Podniosła się niemal od razu, otrzepała skrzydła i spojrzała na Filcka, przekrzywiając zadziornie głowę. Ten, zupełnie nie wiedząc, czego się spodziewać, natychmiast przyjął bojową postawę.

– Uspokój się! Nic ci nie zrobię – zachnęła się sowa.

– Przecież ja też jestem duchem, choć dopiero od niedawna. Chciałam tylko sprawdzić, czy potrafię jeszcze polować.

– No i?

– No i nie wiem, bo mi uciekłeś! Co ty tu w ogóle robisz?

Filcek uznał, że chyba nic mu już nie grozi, a nowa znajomość zapowiada się całkiem interesująco.

– Trafiłem tu przypadkiem. Tak naprawdę chciałem odnaleźć posiadłość Michała Andriollego, ale zupełnie nie wiem, gdzie jej szukać.

– To masz szczęście. Wiem prawie wszystko o posiadłości Andriollego.

– Byłaś tam?

– Właściwie nie. Ale od lat słucham, jak przewodnik opowiada o niej wycieczkom odwiedzającym muzeum. Podobno nic tam już nie ma. Ale jeśli masz ochotę, to oczywiście mogę cię zaprowadzić.

Wyszli na zewnątrz. Ciągłe panowała głęboka noc. Uszka, bo tak nazywała się sowa, nie przestawała mówić.

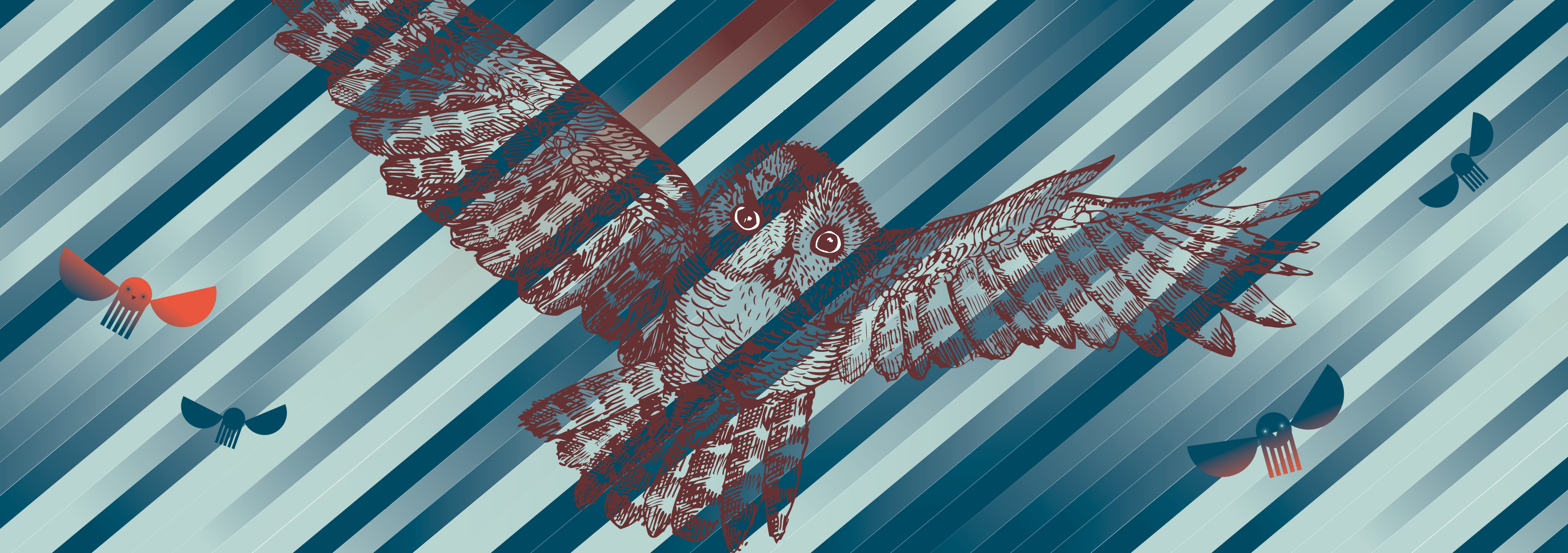
– Widzisz, ja się dopiero uczę, jak to jest być duchem. Nie znam jeszcze wszystkich swoich możliwości. Zawsze myślałam, że duchy mogą przechodzić przez ściany, ale okazało się, że nic z tego.

– No tak – roześmiał się Filcek – też to przerabiałem. A ty skąd właściwie wzięłaś się w muzeum?

– Zanim stałam się duchem, mieszkałam w pobliskim lesie. Zresztą wtedy nie było tu muzeum, a budynek przez kilka lat stał pusty. Przylatywaliśmy tutaj z przyjaciółmi i zwiedzaliśmy strych. Kilka razy udało nam się nawet nieźle nastraszyć stróża, który w nocy pilnował budynku! Był święcie przekonany, że to jakieś duchy! – zachichotała Uszka.

Filcek roześmiał się razem z nią. Uszka mówiła dalej:

– Najzabawniejsze jest to, że kiedy już naprawdę stałam się duchem, okazało się, że nie mogę straszyć. Myślałam, że będę mogła niespodziewanie pokazywać się ludziom i nagle znikać albo pohukiwać, mroząc im krew w żyłach. Ale nic z tego. Ludzie mnie nie widzą, nie słyszą i nie mają pojęcia o mojej obecności.



– Mam ten sam problem. Też bardzo chciałbym komuś się pokazać. Cały czas mam nadzieję, że w końcu mi się uda.

Po dość długim spacerze znaleźli się na miejscu.

– To tutaj? – zapytał Filcek.

Stali na samym końcu szerokiej leśnej drogi. Po lewej stronie i przed sobą widzieli drzewa i krzaki rosnące tak gęsto, że dorosłemu człowiekowi trudno byłoby w nie wejść. Po prawej stronie natomiast była stara, odrapana brama, która na pierwszy rzut oka także zdawała się prowadzić donikąd.

– Nie liczyłeś chyba na to, że zobaczymy któryś z domów Andriollego? Wiesz, że nic już po nich nie zostało, prawda? – spytała Uszka.

– Wiedziałem, że budynków już nie ma, ale myślałem, że znajdziemy chociaż jakieś ruiny,

ślady, cokolwiek... Skoro Andriolli wybudował pierwsze „świdermajery”, to jest kimś bardzo znanym, prawda? Po takiej ważnej postaci musiało chyba coś zostać.

– Niestety, nikt w porę nie zadbał, żeby uratować te domy. Chodźmy dalej.

– Myślisz, że możemy spotkać Andriollego?

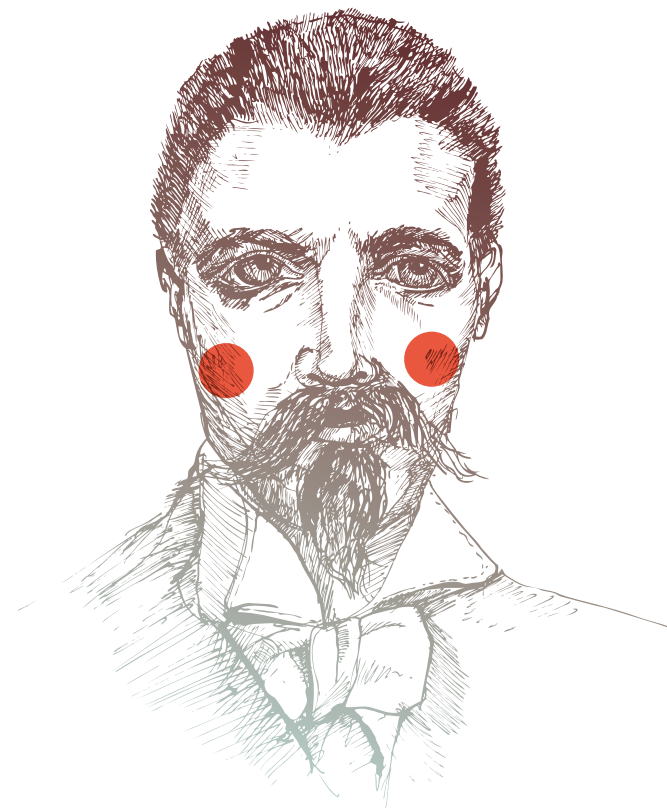
– Nie wiem, przecież nigdy tu nie byłam. Ale jeśli tu mieszkał i to miejsce było mu bliskie, to pewnie mamy szansę.

Weszli w krzaki i ujrzeni wąziutką ścieżkę ciągnącą się wzdłuż Świdra. Po lewej stronie w dole wartko płynęła rzeka, po prawej zaś – jak twierdziła Uszka – znajdowały się kiedyś domy Andriollego. Dzisiaj nic już nie wskazywało na to, że sto lat wcześniej tu były. Zamiast nich Uszka i Filcek widzieli ogrodzone

działki, nowe budynki albo po prostu krzaki. Ani śladu pierwszych „świdermajerów”. Szli, wypatrując choćby najmniejszej pozostałości, ale niczego nie udało im się znaleźć. W pewnej chwili Filcek odniósł wrażenie, że ktoś idzie tuż za nimi, ale kiedy się odwrócił, nikogo nie było. W końcu uznał, że to tylko przywidzenie, ale wtedy zza olbrzymiej wierzby wyłonił się szczupły mężczyzna z niewielką bródką i pokaznymi wąsami. Filcek rozpoznał go natychmiast.

– To pan! – wykrzyknął.

– Krzyczysz, jakbyś zobaczył ducha – łobuzersko zaśmiał się mężczyzna. – Michał Elwiro Andriolli, do usług – skłonił się. – Nazywajcie mnie po prostu Michałem.



– Ja jestem Uszka, a to Filcek. Właśnie się zastanawialiśmy się, czy uda nam się ciebie spotkać – zaszczebotała Uszka. – Może oprowadzisz nas po swoich włościach?

– Chętnie, ale sami widzicie, że wszystko się tutaj zmieniło. To miejsce w ogóle nie przypomina już mojego domu.

– Ale chyba możesz nam pokazać, gdzie on mniej więcej stał?

– Oczywiście. Nigdzie nie było mi tak dobrze, jak tu, choć wcale długo tu nie mieszkalem. Nie potrafię zbyt długo przebywać w jednym miejscu. Nudzi mnie to. Mieszkalem w różnych domach, w różnych miastach, w różnych krajach. Dobrze, chodźcie, pokażę wam moje ulubione miejsce.

Zawrócili i ostrożnie zeszli na plażę. Powoli szli wzdłuż brzegu Świdra. Zza chmur wyłonił się ogromny księżyc, który oświecił drzewa i rzekę. Andriolli, który szedł jako pierwszy, zatrzymał się gwałtownie i wykrzyknął:

– Ach! Muszę to natychmiast narysować!

Uszka i Filcek zatrzymali się w pół kroku. Andriolli tymczasem nerwowo przetrząsał kieszenie swojego długiego płaszcza. Wyciągnął nieco zmiętą kartkę papieru i ogryzek ołówka, po czym szybkimi, pewnymi ruchami zaczął coś szkicować. Filcek i Uszka wykrzyknęli niemal jednocześnie:

– Jesteś duchem i potrafisz rysować?!

– Oczywiście – odpowiedział Andriolli, nie przerywając pracy. – Na początku nie potrafiłem nawet utrzymać ołówka w dłoni. Ale rysowanie to moja

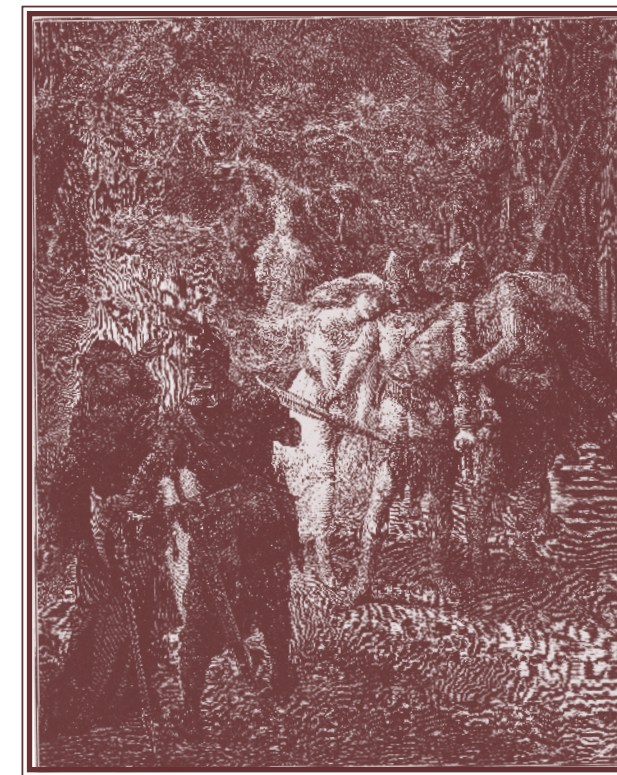
największa pasja, dlatego tak długo ćwiczyłem, aż mi się udało. Trenowałem całe lata i teraz znów mogę tworzyć!

– To znaczy, że jeśli będę wytrwale ćwiczyć, też uda mi się kiedyś znowu zapolować? – zapytała sowa z nadzieją.

– Z pewnością.

Filcek tymczasem uważnie śledził rysunek Andriollego. Z początku widział jedynie bezładnie rozsypane kreski i kreseczki. Jednak w pewnej chwili, zupełnie niespodziewanie, z kresk wyłonił się nocny pejzaż.

ilustracja: Michał Elwiro Andriolli,
Juliusz Słowacki „Lilla Weneda”, Lipsk 1883



Olbrzymi księżyc rozświecał wijącą się rzekę. Stare wierzby rosnące na brzegu niemal dotykały długimi gałęziami wody. Na nadświdrzańskim piasku stało dwoje wędrowców – puszysta sowa i nieduży kot z nieproporcjonalnie długim ogonem.

– Na twoim rysunku wszystko wygląda jeszcze ładniej niż w rzeczywistości – westchnął Filcek.

– Pokażcie, pokażcie! – Uszka trzepotała skrzydłami tuż nad ramieniem Andriollego. – O, mnie też narysowałeś! Ale może mógłbyś trochę skrócić mi dziób i wydłużyć skrzydła? I może...

– Chodźmy już dalej – przerwał jej Filcek, przestępując z łapy na łapę.

Chwilę później dotarli do celu.

– Tutaj miałem swój prywatny park i sad. Byłem z nich taki dumny!

Uszka i Filcek rozglądali się wokół. Po dawnym parku nie było śladu. Owszem, wszędzie rosły drzewa i krzaki, ale z całą pewnością nie pamiętały one czasów Andriollego. Ten opowiadał dalej:

– To miało być miejsce, w którym mógłbym odpoczywać i malować. Chciałem mieć najpiękniejszy park w okolicy. Posadziłem mnóstwo pięknych drzew i krzewów. Setki bzów, jarzębin, brzoź, berberysów. Wiecie w ogóle, co to jest berberys?

– Wiemy. Dzisiaj wielu ludzi ma berberysy w ogródkach – odparł Filcek.

– No cóż, wtedy berberysy nie były takie popularne – ciągnął niezrażony Andriolli. – Miałem też tysiące kolorowych róż. I oczywiście drzewa owocowe: wiśnie, czereśnie, grusze, śliwy, jabłonie. O, spójrzcie! Myślę, że to może być jedna z moich jabłonek!

Wśród krzaków rosła niepozorna, zdziczała i poskręcana ze starości jabłoń. Uginała się pod ciężarem mnóstwa niedojrzałych owoców. Wydawała się starsza od wszystkich rosnących tu roślin.

– A gdzie stał twój dom? – zapytał Filcek.

– Tam – Andriolli wskazał ręką w kierunku miejsca, od którego Filcek i Uszka zaczęli zwiedzanie jego posiadłości. – Mam nadzieję, że nie będziecie mieli mi za złe, jeśli tam nie pójdziemy. To dla mnie przykre, nie ma tam już nic z moich czasów. Ani domu, ani pracowni.

– Miałeś w domu pracownię?

– Oczywiście. Niektórzy moi znajomi śmiali się, że wygląda jak szklarnia, bo w jedną ze ścian kazałem wbudować okno z trzydziestu sześciu szyb. No, ale to chyba oczywiste, że artysta potrzebuje dobrego świa-

tła. Mówiono też, że jestem bałaganiarzem, bo trzymałem tu różne inne potrzebne rzeczy. Na przykład nożyce, gwoździe i młotek. No i oczywiście siodło.

– Serio? – zdziwił się Filcek.

– Jasne! Gdybym na przykład chciał o północy pojechać konno, musiałbym budzić służącego, żeby mi osiodłał konia. Wolałem być samowystarczalny i na wszelki wypadek mieć wszystko pod ręką.

– Twój służący pewnie cię lubił – uśmiechnął się Filcek.

– Z wzajemnością. Nie potrafiłbym na co dzień otaczać się ludźmi, z których bym nie lubił.

– Naprawdę nie chcesz pójść z nami tam, gdzie stał twój dom i pracownia?



– Nie. Zresztą na pewno widzieliście mój dom na fotografiach, prawda? W różnych książkach o Otwocku i na rozmaitych wystawach można zobaczyć jego zdjęcie.

– To, na którym widać ciebie stojącego na balkonie?

– spytała Uszka.

– No właśnie. Jeśli chcecie, możecie iść tam beze mnie.

– A czy to prawda, że oprócz swojego domu wybudowałeś tutaj kilkanaście innych?

– Nie tyle wybudowałem, co raczej zleciłem ich budowę. Ale często sam zakasywałem rękawy i brałem się do roboty. Każdemu z nich nawet nadałem imię! Był domek „Wygodny” i domek „Sosnowy”. Był „Gościenny” i „Mały”, był też „Sędzia”, a także „Dwór”, w którym zamierzałem zamieszkać na starość, ale jakoś mi się nie udało. Ale najważniejszy ze wszystkich

był „Mój”, czyli dom z pracownią. Każdy miał imię pasujące do jego wyglądu i przeznaczenia – uśmiechnął się z rozmarzeniem Andriolli.

– A właściwie po co ci było tyle domów? – wtrąciła Uszka.

– Jak to po co? To był świetny interes! Wybudowałem je, aby wynajmować mieszkania letnikom. Ludzie wtedy chętnie wyjeżdżali z hałaśliwego miasta na wakacje. Mogli przyjechać do mnie na tydzień albo miesiąc i zapomnieć o wszystkich problemach. Wdychali leśne powietrze, spacerowali brzegiem Świdra, podziwiali mój wspaniały park i sad. Organizowałem też koncerty, wieczorki poetyckie, a zimą robiłem kuligi. Ruszyli dalej brzegiem Świdra, wychodząc już chyba poza teren posiadłości Andriollego. Było tu dziko i pusto, chociaż nadal pięknie. Filcek i Uszka uznali,

że wcale nie mają ochoty oglądać miejsca po domu Andriollego. Woleli zapamiętać go takim, jaki był na zdjęciu – urokliwy dom z wieżyczką i postacią artysty na balkonie.

– Na nas już chyba pora – odezwał się Filcek.

– Cóż, trudno. Nie spodziewałem się, że spędzę taki miły wieczór. Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

– Na pewno! Do zobaczenia – Filcek i Uszka pożegnali się z Andriollem i już mieli ruszyć w drogę powrotną, kiedy nagle usłyszeli krzyk:

– Stójcie!

Filcek i Uszka zastygli z przerażenia.

– Co się stało? – spytała sowa.



– Tak niesamowicie wyglądacie w tym świetle! – emocjonował się Andriolli. – Muszę was natychmiast narysować. Nie ruszajcie się!



ROZDZIAŁ
siodmy

Szli w stronę muzeum.

– Bardzo sympatyczny ten Andriolli – stwierdziła Uszka. – Teraz, do kompletu, powinniśmy jeszcze poznać Geislera!

– Kogo?

– Józefa Geislera. Kiedy dzieci przychodzą do muzeum na lekcję o początkach Otwocka, przewodnicy zawsze im powtarzają, że Otwock miał dwóch ojców

– Andriollego i Geislera. Domy Andriollego podobno przyciągały tutaj tłumy letników, dla których trzeba było budować coraz więcej nowych pensjonatów. Dzięki temu Otwock szybko się rozwijał i stał się bardzo popularną miejscowością letniskową.

– No a ten Geisler?

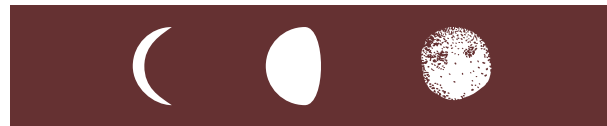
– Był lekarzem, który wybudował w Otwocku pierwsze sanatorium. Na jego miejscu znajduje się teraz

osiedle bloków, ale zostały tam przynajmniej dwa budynki pamiętające czasy sanatorium.

– Pójdziemy tam? Tylko nie teraz, bo muszę już wracać do domu – Filcek zauważył, że zaczyna świtać.

– No jasne. Już dawno miałam ochotę tam poszperać. Spotkajmy się w muzeum za trzy dni. To znaczy za trzy noce, bo w ciągu dnia wolę jednak spać.

– W takim razie do zobaczenia! – wesoło pożegnał się Filcek i co sił popędził do Agnieszki.



Zgodnie z umową trzy noce później spotkali się w muzeum. Uszka była niezwykle podekscytowana wycieczką.

Okazało się, że bloki zbudowane na terenie dawnej posiadłości Geislera znajdują się niedaleko domu Agnieszki. Nieco z boku, przy ulicy Szopena, stał jeszcze stary, rozpadający się drewniany budynek, w którym mieszkał Józef Geisler zanim powstało jego sanatorium.

Zajrzeli do środka przez okno. Choć była głęboka noc, nie wszyscy jego mieszkańcy spali. W jednym z pokoi jasnowłosa kobieta leżąc w łóżku czytała książkę. W innym piegowaty nastolatek zawzięcie stukał w klawiaturę swojego komputera. Mieszkanie było schludne i zadbane, choć znajdowało się w starym zniszczonym budynku.

– Nie mam pojęcia, gdzie szukać ducha Geislera – powiedział Filcek.

– Mam pomysł! Chodź za mną – tajemniczo uśmiechnęła się Uszka.

Filcek bez przekonania ruszył za swoją przyjaciółką. Po chwili znaleźli się przed starym, murowanym domem stojącym obok osiedla bloków. Dom sprawiał nieco upiorne wrażenie – był opuszczony, odrapany, a w dachu brakowało pojedynczych dachówek.

– Ten dom należał do jednego z czworga dzieci Józefa Geislera, tylko nie pamiętam którego – wyjaśniła Uszka – może tu go spotkamy.

Weszli do środka. Ciemność nie przeszkadzała im zupełnie, natomiast drażniły ich rozsypane wszędzie cegły, kamienie, butelki i puszki. Wszystkie pomieszczenia wyglądały tak samo: puste, ciemne, pozbawione

wszelkich mebli i sprzętów. Zdziwili się więc, kiedy w najmniejszym pokoju zobaczyli lśniący bujany fotel, na którym siedział zamyślony mężczyzna, palący długą brązową fajkę. To musiał być Józef Geisler! Zakręcone na końcach wąsy i elegancki staroświecki strój nie pozostawiały co do tego cienia wątpliwości!

– Dobry wieczór! – odezwała się cicho Uszka. Filcek nawet nie spodziewał się, że potrafi być taka opanowana, ale widocznie powaga bijąca od gospodarza udzieliła się również jej.

Mężczyzna wyglądał, jakby właśnie wyrwano go z głębokiego snu. Otrząsnął się i ze zdumieniem spytał:

– Czy my się znamy?

– To jest Filcek, który właśnie tu zamieszkał, a ja mam na imię Uszka. Razem zwiedzamy najciekawsze miejsca w Otwocku.

– I uważasz, że to jest jedno z najciekawszych miejsc?

– Tak naprawdę przyszliśmy tutaj z nadzieją, że pana spotkamy – wtrącił Filcek. – Czy to prawda, że gdyby nie pan, Otwock nie stałby się znanym uzdrowiskiem?

– Ach, nie przesadzajmy – doktor Geisler próbował zaprzeczyć, lecz widać było, że pytanie Filcka sprawiło mu wielką przyjemność. – Moje sanatorium rzeczywiście było bardzo popularne, ale...

– To może mógłby pan nam o nim opowiedzieć?

– Właściwie czemu nie? Tylko chodźmy na zewnątrz. Siedzę tutaj sam już tak długo, że nawet nie wiem, jaka jest pogoda. Mam ochotę na spacer!

– Słusznie, wyjdźmy stąd – ochoczo zgodziła się Uszka.

– Jakoś dziwnie się tu czuję.

– Dziwnie się czujesz? – zatroskał się doktor Geisler.

– Pewnie jesteś chora! Tak, tak, nie wyglądasz na zdrową...

– Myślałem, że duchy nie chorują – nieśmiało odezwał się Filcek.

Geisler przeniósł na niego groźne spojrzenie.

– Chorują, nie chorują... A kto tak naprawdę może to wiedzieć?

Ponownie zwrócił się do Uszki:

– Pozwól, że przyjrzę ci się dokładniej. Hmm, jesteś trochę za chuda, twoje piórka straciły blask... Powinnaś napić się kumysu.

– Czego? – wykrzyknęła Uszka.

– Ku-my-su – powtórzył doktor powoli.

– A co to jest? – spytał Filcek

– Nie wiecie, co to jest kumys? Gdzie ja żyję?! – jęknął przerażony Geisler i złapał się za głowę.

– Pan nie żyje. Jest pan duchem.

– Eee... no tak. A więc naprawdę nie wiecie, czym jest kumys?

– Nie mamy pojęcia.

– Kumys to napój z kobyłego mleka.

– Kobyłego?

– Tak, czyli z końskiego. Ostatecznie może być z osłego. Albo z mleka jaka, ale takiego nigdy nie próbowałem. W moim sanatorium pacjenci pili wyłącznie kumys z mleka kobyły.

– Mleko od kobyły! Faj! – jęknęła Uszka.

– W dodatku sfermentowane – dodał doktor, zachowując absolutną powagę. – Kumys, moi drodzy, jest dobry na wszystko! Poprawia apetyt, wzmacnia organizm i leczy układ oddechowy. Tu nie ma co się krzywić! Do mojego sanatorium przyjeżdżali chorzy

z całego kraju, aby poddać się terapii kumysem.

– Jakie jeszcze kuracje pan stosował? – zapytał Filcek niepewnie.

– Najlepsze z dostępnych! Kąpiele w igliwiu sosnowym, w borowinie...

– Cooo? W igłach sosnowych? A to nie kłuło?

– Nie zadawałbyś takich niemądrych pytań, gdybyś przynajmniej raz zażył takiej kąpieli. Twoje futerko od razu nabrałoby blasku, a przede wszystkim łatwiej by ci się oddychało. Ten dźwięk, który słyszeć przy każdym twoim oddechu, może świadczyć o poważnych problemach z drogami oddechowymi.

– Nie sądzę. Ten dźwięk to mruczenie. Od mruczenia jeszcze żaden kot nie umarł. Zwłaszcza jeśli jest duchem – odgryzł się Filcek.

Ten cały Geisler zaczynał go irytować. Mądrzył się, jakby pozjadał wszystkie rozumy! I co z tego, że nazywano go jednym z dwóch ojców Otwocka? Trochę pokory by mu nie zaszkodziło!

Słowa Filcka odniosły spodziewany skutek i Geisler zmienił temat. Stali właśnie przed jednym z bloków. Lekarz zatoczył ręką wokół, mówiąc:

– To było serce mojego sanatorium. Z tej strony stał budynek kąpielowy, od którego wszystko tak naprawdę się zaczęło. Tam dalej była kuchnia połączona przejściem z głównym budynkiem zakładu. Oczywiście stopniowo rozbudowywałem sanatorium, tak by mogło pomieścić jak największą liczbę chorych. Starałem się zapewnić im nie tylko fachową opiekę, ale także jakieś rozrywki, dlatego zorganizowałem

świetnie wyposażoną czytelnię i urządziłem piękny ogród, po którym mogli spacerować w słoneczne dni. A teraz spróbujmy przejść na tamtą stronę. Pokażę wam, gdzie urządziłem moim pacjentom werandowanie.

– Werandowanie? Czyli budowanie werand? – spytała Uszka, zadowolona, że udało jej się poprawnie rozszyfrować to trudne słowo.

– Niezupełnie. Werandowanie to po prostu leżenie na werandzie i oddychanie świeżym powietrzem. Wiecie, moje sanatorium odniosło sukces, ponieważ potrafiłem wykorzystać właściwości otwockiego klimatu. Okazało się, że sosny, które rosną w Otwocku i okolicach, wydzielają bardzo intensywny żywiczny aromat. Dzięki temu otwockie powietrze doskonale wpływa na płuca i całe drogi oddechowe.

– I wystarczyło nim oddychać, żeby mieć zdrowe płuca?

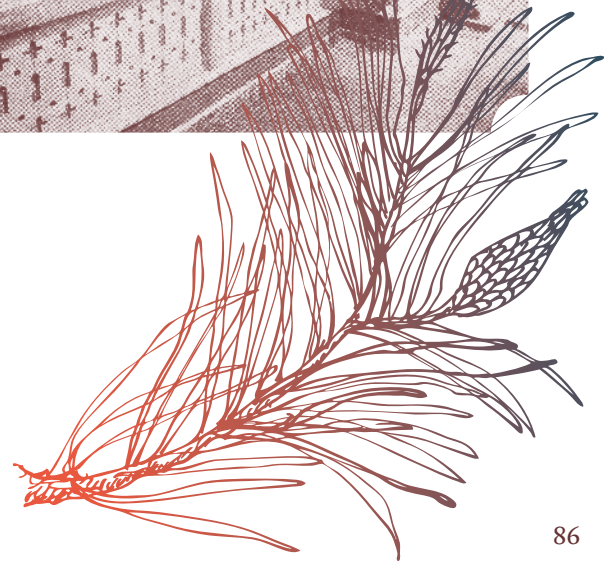
– Zwykle tak. Czasem trzeba było jeszcze zażywać odpowiednie leki, stosować specjalną dietę i oczywiście pić kumys.

– I nikt przed panem tego nie odkrył?

– Chyba nie. Później sanatoria i szpitale w Otwocku pojawiały się jak grzyby po deszczu. Na Warszawskiej swoje sanatorium wybudował doktor Przygoda, przy torach stanęło uzdrowisko Gurewicza.

– O, tak! Widziałem je! – wykrzyknął Filcek. – To ten największy „świdermajer” w Otwocku, prawda?

– Tak. Chociaż za moich czasów nie był jeszcze taki ogromny. Potem wybudowano Sanatorium miasta stołecznego Warszawy i Sanatorium Towarzystwa „Brijus”, jedno z niewielu przedwojennych otwockich



szpitali, w których ciągle leczy się ludzi. Pozostałe stoją puste i niszczej albo pełnią zupełnie inne funkcje.

– Na przykład jakie?

– W sanatorium doktora Krukowskiego dziś jest liceum. Sami uczniowie nie zawsze wiedzą, że uczą się w przedwojennym szpitalu. W środku wszystko jest wyremontowane, nowoczesne. Albo sanatorium „Marpe” na ulicy Kołłątaja. Dzisiaj nie ma tam już przedwojennych budynków, za to jest przedszkole z pięknym, kolorowym placem zabaw. Pamiętam, jak w gazetach pisano o wspaniałych potrawach tamtejszej kuchni. Podobno kiedy komuś doskwierał brak apetytu, jechał do „Marpe”. Pacjentów karmiono tam tak wyśmienicie, że każdemu wracał apetyt!

– To dobrze, że w tych miejscach coś się dzieje – stwierdził rzeczowo Filcek.

– Oczywiście, że dobrze. Trochę mi przykro, kiedy patrzę na opuszczone uzdrowisko Gurewicza. Pamiętam, jak tętniło życiem, a dziś marnieje. Już nie mówiąc o moim sanatorium, gdzie dzisiaj stoją te betonowe bloki...

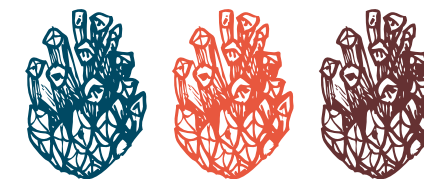
Doktor Geisler zamilkł, wpatrując się w pogrążone w ciemności osiedle. Filcek i Uszka także milczeli. W końcu Filcek cicho powiedział:

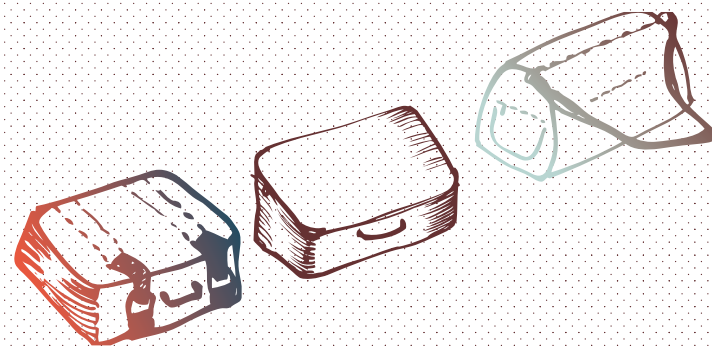
– Przykro nam, że nie ma już pańskiego sanatorium. Ale mieszkańcy Otwocka pamiętają przecież o panu i o tym, co pan robił. Jedną z otwockich ulic nazwali pana imieniem. To chyba też jest ważne, prawda?

Geisler nie odpowiedział, ale w zamyśleniu pokiwał głową.

– Na nas już czas – kontynuował Filcek. – Do widzenia.

Geisler bez słowa pomachał im na pożegnanie.





ROZDZIAŁ

army

Niech zgadnę – zagadnęła Uszka w drodze powrotnej – teraz miałbyś pewnie ochotę odwiedzić Uzdrowisko Gurewicza?

– Skąd wiedziałaś? – Filcek wyszczerzył w uśmiechu wszystkie zęby.

– Po prostu czytam ci w myślach. To kiedy wyruszamy na kolejną wyprawę?

– Nie wiem. Widzisz, poznawanie Otwocka w twoim towarzystwie jest bardzo ciekawe, ale mam pewien problem. I chyba nie będę mógł się cieszyć kolejnymi wyprawami, dopóki go nie rozwiążę.

– Może mogę ci jakoś pomóc?

Filcek popatrzył na sowę z nadzieją i rozpoczął swoją opowieść. Mówił o Agnieszce, o swojej przeprowadzce z innego miasta, o tym, w jaki sposób stał się duchem i jak może z powrotem zamienić się w maskotkę.

– Życie ducha bardzo mi się podoba i nie chciałbym z niego rezygnować, ale chyba jeszcze bardziej nie chciałbym żyć bez Agnieszki i wiedzieć, że ona za mną tęskni – zakończył.

– Jesteś pewien? Naprawdę potrafisz zrezygnować z tego wszystkiego, co możesz robić jako duch? – dopytywała Uszka, niepomiernie zdziwiona.

– Naprawdę. Na początku miałem jeszcze wątpliwości, ale Agnieszka tak za mną tęskni...

– Skoro jesteś pewien, pomogę ci. Znam mnóstwo miejsc, w których leżą zapomniane zabawki. Wyciągniemy wszystkie, jakie uda nam się znaleźć i na pewno trafimy na maskotkę, która należy do jakiegoś ducha!

– Jasne, tylko w jaki sposób przeniesiemy je na stację? Przecież to bardzo trudne.

– Och, tym się na razie nie przejmuj! We dwoje damy sobie radę!

– No cóż... – Filcek nie wyglądał na przekonanego.

– Cieszę się, że chcesz mi pomóc. Do pełni księżyca zostało tylko półtora tygodnia!

– Możemy zacząć poszukiwania już jutro. Tak się składa, że jedno z miejsc, w które warto byłoby zajrzeć, znajduje się dokładnie przy Uzdrowisku Gurewicza. Więc może jednak spróbujemy się tam wybrać? – zaproponowała Uszka.

Filcek dał za wygraną. Ostatecznie naprawdę chciał dokładnie obejrzeć ten wspaniały budynek. Umówili się zatem na kolejną wyprawę.



Następnego wieczoru padał deszcz, ale poza tym było ciepło i przyjemnie. Filcek i Uszka spotkali się przed bocznym wejściem na teren Uzdrowiska Gurewicza.

– Od czego zaczynamy? – spytała Uszka. – Najpierw oglądamy budynek czy idziemy przejrzeć zabawki?

– Najpierw zabawki. Przyjemności zostawmy sobie na koniec – zdecydowanie odparł Filcek.

– Jak wolisz.

Minęli budynek i stanęli przed starymi niskimi drzwiami prowadzącymi do podziemnej komórki. Przeszli przez szparę w drzwiach i znaleźli się w nie-dużym pustym pomieszczeniu.

– Przecież tu nic nie ma! – jęknął rozczarowany Filcek.



– Nie byłabym tego taka pewna – odparła Uszka, wskazując przeciwległą ścianę. Filcek zauważył mały otwór. Zajrzał przez niego i zachwycony wykrzyknął: – A więc tam jest jeszcze jedna izba! Idziemy!

Przecisnęli się przez dziurę. Sąsiednie pomieszczenie musiało być zamurowane od wielu lat, a więc istniała szansa, że wszystko, co się w nim znajduje, należało do ludzi, którzy żyli dawno temu. Filcka ogarnęła szalona radość!

Na środku piętrzyła się góra przedmiotów. Potłuczone talerze, pogryzione przez robactwo książki w pięknych twardych okładkach, zegarki na łańcuszkach i... zabawki!



– Te przedmioty mają chyba ze sto lat! – wykrzyknął Filcek. – Pewnie należały do ludzi, którzy przyjeżdżali do tego uzdrowiska.

– Pewnie tak. Zabierajmy się do pracy. Spójrz, ile tu zabawek!

Filcek jak zaczarowany przyglądał się popękanym główkom porcelanowych lalek, połamanym wagonikom drewnianej kolejki i odrapanym miniaturowym mebelkom. Nagle zorientował się, że w tej ogromnej stercie może nie być ani jednej maskotki! Przerażony spojrzał na Uszkę i już wiedział, że sowa myśli o tym samym.

– Nie martw się tak. Na pewno coś znajdziemy. Musimy tylko przegrzebać tę górę – powiedziała Uszka łagodnie.

– Wiesz, ile czasu nam to zajmie? Na moje oko przynajmniej miesiąc.

– W najgorszym wypadku zmienisz się w maskotkę przy następnej pełni księżyca.

– Ale ja nie chcę czekać do następnej pełni! – wrzasnął Filcek.

W milczeniu przyglądali się stercie starych rzeczy, zastanawiając się, w jaki sposób zabrać się do dzieła. Zaczęli zdejmować przedmioty z samej góry. Było to bardzo męczące. Energii wystarczyło im tylko na niecałą godzinę pracy.

– To bez sensu – jęknął wreszcie Filcek. Miał wrażenie, że stracili już mnóstwo czasu, a sterta wcale się nie zmniejszyła. Ciągłe nie znaleźli żadnej maskotki.



– Daj spokój, przecież... – zaczęła Uszka, ale nagle urwała w połowie zdania i zastygła w bezruchu.

– Co się stało? – zaniepokoił się Filcek.

– To Fałdziak! Biegnie tu! Uciekamy! – krzyknęła Uszka, podrywając się z ziemi.

Filcek nie zdążył już zapytać, kim jest Fałdziak i dlaczego trzeba przed nim uciekać. Przez moment pozazdrościł tylko Uszce znakomitego słuchu. Przecisnęli się z powrotem przez dziurę w ścianie i wydostali się z budynku. Po chwili oboje mknęli już na oślep wzdłuż długiego budynku dawnego Uzdrowiska Gurewicza.

– Schowajmy się w środku – zaproponowała Uszka.

– Ale jak? Przecież wszystko jest zamknięte!

– A masz jakiś inny pomysł?

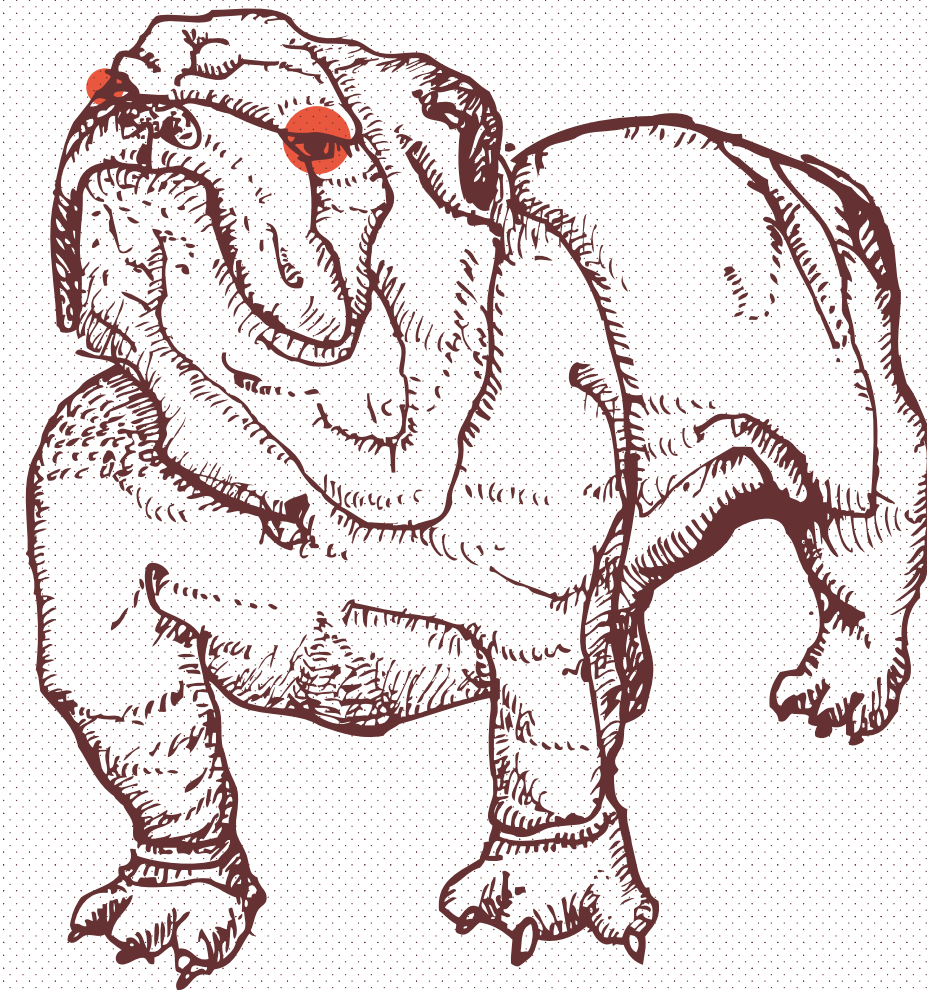
Biegli przed siebie. Kiedy skręcili za róg, Filcek kątem oka zauważył doganiającego ich olbrzymiego buldoga. Dreszcz przerażenia przebiegł mu po grzbiecie. Nagle poczuł, że ktoś chwyta go za kark i unosi do góry. Już miał wrzasnąć „ratunku!”, gdy zorientował się, że to była Uszka i że lecą w kierunku dachu dawnego uzdrowiska.

Kilka chwil później byli już bezpieczni. Siedzieli wysoko na dachu, obserwując buldoga, który wściekle ujadął na trawniku.

– O rany! Skoro cię uniosłam, to znaczy, że chyba ciągle potrafię polować! – wysapała Uszka.

– Ten pies, który nas gonił, to właśnie Fałdziak? – zapytał Filcek, sapiąc ze zmęczenia.

– Tak.



– Myślisz, że mógł nam zrobić krzywdę? Przecież jesteśmy duchami.

– A chciałbyś się o tym przekonać na własnej skórze? Bo ja nie. Zresztą Fałdziak też jest duchem. To pies dawnego lokaja Uzdrowiska Gurewicza.

– Ojej! Pewnie mógłby nam wiele opowiedzieć o tym miejscu!

– Jeśli chcesz, to wracaj na dół i go poproś – powiedziała Uszka drwiąco. – Ale jeśli odgryzie ci ogon, to nie mów, że cię nie ostrzegałam.

Wizja utraty ogona ostatecznie przekonała Filcka, że lepiej nie ryzykować. Zamiast tego postanowił skorzystać z okazji i lepiej przyjrzeć się budynkowi dawnego Uzdrowiska Gurewicza.

– Chodź – rzekł pojednawczo – pozwiedzajmy trochę.

Bez trudu dostali się do środka, przechodząc przez szparę między deskami w szczycie budynku. Wewnątrz znajdowało się mnóstwo pomieszczeń, schodów, przejść, korytarzy i schowków. Wnętrze było zniszczone i najeżone mnóstwem pułapek. Prawie każdy pokój na piętrze miał przegniłą podłogę – wystarczył jeden nieuważny krok, żeby spaść piętro niżej. Na ścianach i sufitach pleśń i grzyby tworzyły malownicze kompozycje, w powietrzu unosił się zapach stęchlizny. Filcek ze wszystkich sił próbował wyobrazić sobie ten budynek w latach świetności, jednak tym razem wyobraźnia odmawiała mu posłuszeństwa.

Przemierzali kolejne korytarze i pokoje. Filcek powoli tracił nadzieję, że uda im się znaleźć jakieś pamiątki po dawnym uzdrowisku. Nie żałował jednak, że tu

przyszedł – w końcu nie każdy miał okazję tak dokładnie zwiedzić miejsce, które niegdyś było wizytówką Otwocka.

– To co, wychodzimy? – Uszka przerwała jego rozmyślenia.

Zaczęli kierować się do wyjścia, gdy nagle usłyszeli kroki dobiegające z korytarza. Z pewnością nie był to Fałdziak – chyba że założyłyby buty na obcasach. Szybkie kroki i stukot obcasów sugerowały, że to raczej jakaś energiczna kobieta.

Po chwili ich oczom ukazała się szczupła młoda kobieta w stroju, który mógł być modny jakieś sto lat wcześniej, i z pasującą do niego fryzurą. Niosła, a właściwie ciągnęła za sobą olbrzymią walizkę. Do Filcka i Uszki coraz wyraźniej docierały jej gniewne słowa:

– Ciągłe to samo! Jak zwykle nie ma nikogo do pomocy! Gdzie się podział ten leniwy lokaj?!

Uszka natychmiast wyczuła okazję do zawarcia nowej znajomości:

– A może my możemy pomóc?

– Kot i sowa zamiast porządnej służby, świetnie! – powiedziała z przekąsem kobieta. – Ale skoro naprawdę nie ma tu nikogo innego, to trudno. Pomóżcie.

Wspólnymi siłami przenieśli walizkę do pomieszczenia, które wskazała kobieta. Filcek cały czas zastanawiał się, co może się w niej znajdować, że jest taka ciężka. Tymczasem kobieta nie przestawała narzekać: – Mam nadzieję, że Abram Gurewicz się dziś pojawi. Już ja mu powiem, co myślę o jego pracowniku! Nic a nic się nie zmienił. Za życia też nigdy nie można



było liczyć na jego pomoc. Pewnie znowu ugania się za swoim szalonym psem!

– Za Fałdziakiem? – zgadła Uszka

– Wstrętne psisko! Nie można było spokojnie pospacerować po ogrodzie, bo w najmniej odpowiednim momencie uciekał ze swojego kojca i ganiał gości.

A ten lokaj, jego właściciel, w ogóle nie dawał sobie z nim rady! Rzucił wszystko i biegał za tym kundlem, dopóki go nie złapał. I to ma być służba? Dziwię się, że Gurewicz nie zrobił z nim porządku. Tym bardziej że... – kobieta przez chwilę grzebała w podręcznej torbie, po czym wyjęła z niej pożółkłą kartkę papieru i podała ją Filckowi – w reklamie swojego uzdrowiska bardzo zachwalał służbę.

– „Służba wyszkolona, grzeczna i staranna” – przeczytał głośno Filcek.

– Co to? – spytała Uszka.

– Broszura reklamowa Uzdrowiska Gurewicza – odparła kobieta. – To właśnie ona zachęciła mnie i mojego męża do przyjazdu tutaj. Przed wojną bywaliśmy tu prawie każdego roku. I wszystko nam się podobało, z wyjątkiem lokaja i jego psa.

Filcek przyglądał się zdjęciom w broszurze.

– Patrz, jak tu było ładnie przed wojną! – zwrócił się do Uszki.

Ale Uszka w ogóle go nie słuchała, zajęta rozmową z kobietą.

– A kim ty w ogóle jesteś i co tu robisz? – spytała.

– Ach, wybaczenie, nie przedstawiłam się. Jestem duchem Eugenii Wizer. Przybyłam tu na spotkanie duchów dawnych gości uzdrowiska. Takie spotkania odbywają się wprawdzie co roku, ale jak do tej pory

nigdy nie udało mi się na nie przybyć. Teraz, kiedy jesteśmy duchami i możemy swobodnie poruszać się po całym świecie, wolimy z mężem zwiedzać inne kraje. Dziś jestem tu wyłącznie dlatego, że spodziewam się spotkać moją przyjaciółkę z dzieciństwa.

– Gdzie odbędzie się to spotkanie?

– Szczerze mówiąc, myślałam, że tutaj, w jadalni. Ale widzę, że bardzo się zmieniła, a właściwie to wcale jej już nie ma.

– Więc tu była jadalnia? – wykrzyknął Filcek. Z niedowierzaniem wpatrywał się w broszurę. Na zdjęciu było to długie pomieszczenie, którego środkiem biegło przejście. Po obu stronach stały stoły i krzesła dla gości, w głębi zaś były wysokie piece kaflowe. Promienie słoneczne wpadały przez piękne półokrągłe okna rozmieszczone symetrycznie w obu ścianach

sali. Tymczasem pomieszczenie, w którym znajdowali się Filcek, Uszka i Eugenia, wyglądało jak niewielki fragment jadalni ze zdjęcia. Okna znajdowały się tylko po jednej stronie, po piecach kaflowych nie było śladu. Wiedziony przecuciem Filcek wybiegł na korytarz i już po chwili wiedział, co się stało z olbrzymią jadalnią. W sali po drugiej stronie korytarza odkrył takie same półokrągłe okna, a na samym jej końcu znalazł nawet nienaruszone piece. To mogło oznaczać tylko jedno – jadalnia została podzielona ścianami na kilka mniejszych pokoi.

– Ciekawe, kiedy to się stało – mruknął Filcek sam do siebie.

– Na szczęście już nie za moich czasów – usłyszał głos. Odwrócił się i zobaczył niewysokiego mężczyznę o orlim nosie i ciemnych, przyprószonych siwizną włosach.

– Pan jest pewnie duchem Gurewicza – zwrócił się do niego.

– Owszem. Mam nadzieję, że się nie spóźniłem. Uff, na szczęście nikogo jeszcze nie ma.

– Przepraszam, ale czekam tu już przynajmniej pół godziny! – zza ściany wyłoniła się Eugenia.

– Pani Eugenio! Jak miło panią znów zobaczyć! Nie sądziłem, że jeszcze kiedykolwiek pani do nas zawita! A kim są te dwa stworzenia?

– Nie mam pojęcia, co tutaj robią, ale w przeciwieństwie do pańskiego lokaja pomogli mi przynajmniej wnieść bagaże.

– Niechże już pani da spokój biednemu, staremu Joachimowi – uspokajająco rzekł Gurewicz. – Proszę się rozgościć, rozpakować, odpocząć. Odwrócił się do Filcka i Uszki – To skąd się tutaj wzięliście

w takim wyjątkowym dla nas dniu? – zapytał.

– Nie wiedzieliśmy, że jest wyjątkowy – odparł Filcek.

– Sprowadza nas zwykła ciekawość. Chcieliśmy po prostu zobaczyć, jak największy drewniany budynek w Polsce wygląda w środku.

– I co? Podoba się wam?

– Szczerze mówiąc, bardziej podoba się nam na zdjęciach w tej broszurce.

– No tak, powstała w latach największej świetności uzdrowiska. W tamtym czasie uchodziło ono za luksusowe. Idealne miejsce na letni wypoczynek! Przyjeżdżali do nas goście z całej Polski, a niekiedy także z innych krajów.

– A może znajdzie pan jeszcze chwilę, żeby pokazać nam, jak teraz wyglądają te pomieszczenia ze zdjęć? Jadalnię znaleźliśmy sami, chociaż nie było to łatwe.



– Rzeczywiście, stoimy teraz dokładnie pośrodku dawnej jadalni. Widzicie, wiele lat po mojej śmierci w tym budynku otwarto szkołę pielęgniarską. Trudno było znaleźć zastosowanie dla takiej ogromnej sali, jak ta jadalnia. Dlatego podzielono ją na kilka mniejszych sal, w których urządzono klasy szkolne. Dobrze, że budynek tak długo służył mieszkańcom Otwocka.

– A nie mógłby służyć im do dziś? – spytała Uszka.

– Na pewno potrzebowałyby wielkiego remontu. Pewnie widzieliście zgniłe podłogi i sufity, grzyb na ścianach. Dzisiaj jest tu po prostu niebezpiecznie. Ale może kiedyś znajdzie się ktoś, kto taki wielki remont przeprowadzi.

Zostawili Eugenię rozpakowującą swoją ogromną walizkę i jeszcze raz ruszyli w głąb budynku. Stara broszurka wyznaczała trasę wędrówki. Gurewicz pokazał im wszystkie miejsca ze zdjęć, opowiadając przy okazji kilka historyjek z życia uzdrowiska. I chociaż żadne nie wyglądało jak na przedwojennych fotografiach, Filcek i Uszka mieli wrażenie, że całkiem nieźle poznali codzienność kuracjuszy.

Gurewicz miał niezwykły dar opowiadania. Kiedy opisywał podawane gościom potrawy, Filcek i Uszka niemal czuli ich smak. I nawet dali się przekonać, że

pod niezbyt zachęcającą nazwą „ozór peklowany” kryje się jakiś kulinarny rarytas. Gdy tylko wyszli na jedną z licznych werand i Gurewicz zaczął opowiadać o dawnym ogrodzie, przed oczami Filcka i Uszki pojawiły się wypielęgnowane egzotyczne rośliny, kręte ścieżki, którymi spacerowali goście, szemrząca fontanna i nastrojowe lampy ogrodowe. Kiedy zaś Gurewicz opowiadał o niedzielnych potańcówkach i balach dla pensjonariuszy, wydawało się, że gdzieś daleko pobrzmiwają dźwięki fortepianu i skrzypiec. Bez wątpienia w klimat uzdrowiska wprowadzały ich także odgłosy dochodzące z różnych części budynku. Z każdą chwilą przybywało coraz więcej duchów. Elegancko ubrane pary spacerowały korytarzami, służące w schludnych fartuszkach układały bukiety kwiatów, mężczyźni z dłu-

gimi wąsami zawzięcie dyskutowali na werandzie.

– Może jednak zostaniecie z nami i posłuchacie wspomnień dawnych gości? – zaproponował Gurewicz.

– Ech, chętnie byśmy zostali, ale mamy jeszcze pilną sprawę do załatwienia – odparł Filcek.

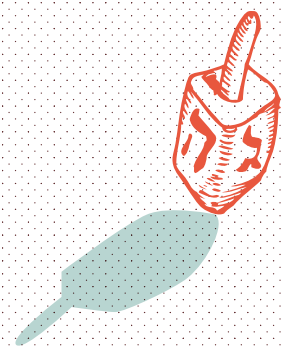
Nagle coś mu zaświtało. Opowiedział Gurewiczowi swoją historię.

– Może wie pan, gdzie mógłbym znaleźć maskotkę, która należy do ducha? – spytał na zakończenie.

– Nie wiem, ale zapytam moich gości. Może ktoś z nich będzie potrafił ci pomóc. Wpadnijcie jutro w nocy, zobaczymy, co się da zrobić.

Pożegnali się z Gurewiczem, życząc mu udanego wieczoru w towarzystwie duchów dawnych gości. Cicho i ostrożnie ruszyli w stronę domu Filcka. Z daleka dobiegało ich głośne ujadanie Fałdziaka.





ROZDZIAŁ *dziewiąty*

Zgodnie z umową Filcek następnego wieczoru zjawił się w uzdrowisku. W tym czasie Uszka przetrząsała inne miejsca, w których mogły znajdować się stare zabawki. Niestety, Gurewicz nie miał dla Filcka dobrych wieści. Żaden z gości nie potrafił mu pomóc. Co prawda, większość doskonale pamiętała swoje zabawki z dzieciństwa, ale nikt nie wiedział, co się z nimi stało. Najprawdopodobniej już dawno zdążyły rozpaść się ze starości lub zaginęły w bliżej nieokreślonych okolicznościach. Eugenia wspominała swoją wspaniałą porcelanową lalkę, którą oddała córce, a ta następnie podarowała ją swojej córce. Dziś lalka była jedną z najdroższych pamiątek w rodzinie Eugenii – zabezpieczona przed kurzem i ciekawskimi rączkami dzieci, spoczywała w drewnianym pudełku z przeszkłonym wieczkiem,

równie starym, jak ona sama. Ale Filcek nie szukał lalki, tylko przytulanki.

Rozczarowany spotkał się z Uszką jeszcze tej samej nocy. Niestety, ona także nic nie znalazła.

Po kilku kolejnych wieczorach niepowodzeń zaczęli tracić nadzieję, że uda im się zdobyć maskotkę należącą do jakiegoś ducha. Najbliższa pełnia księżyca wypadała już za dwa dni. Tymczasem Uszce skończyły się pomysły i nie miała pojęcia, gdzie jeszcze mogliby zajrzeć. Wreszcie Filcek bez większego entuzjazmu zaproponował:

– W naszym domu jest wielki strych. Pełno tam różnych przedmiotów, których nikt od lat nie przeglądał. Rodzice Agnieszki już dawno zamierzali zrobić z tym porządek, ale jakoś do tej pory im się nie udało. Może spróbujemy tam?

– Dobra – mruknęła Uszka.

Kilka chwil później byli już na miejscu. Strych wyglądał dokładnie tak, jak wcześniej. Przez chwilę rozglądali się, nie wiedząc, od czego zacząć. Niektóre rzeczy wydawały się na tyle ciekawe, że poświęcili chwilę, by przyjrzeć im się bliżej albo sprawdzić, jak działają. Tak było ze starym młynkiem do kawy, małym kieszonkowym zegarkiem na łańcuszku, a nawet z gramofonem, który udałooby im się uruchomić, gdyby nie to, że nie mogli znaleźć żadnej płyty.

– Macie tutaj prawdziwe skarby! – westchnęła z zachwytem Uszka. – Spójrz na to. Ciekawe, co jest w środku.

Wskazała Filckowi niewielką szkatułkę z drewna, wykonaną ozdobnymi okuciami. Choć nie była zamykana na klucz, nie byli w stanie jej otworzyć.

Dłuższą chwilę próbowali odkryć mechanizm pozwalający zajrzeć do środka. Wreszcie okazało się, że jedna z bocznych ścianek jest podwójna i kryje w sobie małe guziczek. Wystarczyło go nacisnąć, a wieczko odskakiwało do góry. Wewnątrz znajdował się niewielki metalowy przedmiot, który im zupełnie niczego nie przypominał. Mógł być elementem biżuterii, fragmentem jakiegoś mechanizmu albo narzędziem.

– Co to może być? – zastanawiała się Uszka.

– Nie mam pojęcia – odparł Filcek.

– Ale ja mam! – usłyszeli wesoły chłopięcy głos. Spośród rozrzuconych niedbale przedmiotów wyłonił się duch kilkunastoletniego, rudowłosego chłopca. – Szukaliśmy tego tyle lat! Esterka, zobacz!

Z ciemności wyszła nieco młodsza dziewczynka.

Już na pierwszy rzut oka było widać, że dzieci są ródzeństwem.

– Nasz drejdel! – pisnęła radośnie Esterka.

– Wasze co? – spytała Uszka.

– Drejdel! Taka zabawka, a raczej gra, nigdy się w to nie bawiliście? Kiedy mieszkaliśmy w tym domu, bawiliśmy się nim cały czas. W końcu mama schowała go w tej szkatułce. Bo nie można się nim bawić codziennie, tylko z okazji Chanuki.

– Jakiej Chanuki? Co to znaczy? – Uszka miała dość niezrozumiałych słów.

– Naprawdę nigdy nie słyszeliście o święcie Chanuki?

– Nie – odparł Filcek. – Nigdy takiego nie obchodziliśmy i nie znam nikogo, kto by obchodził.

– Dziwne – odparł Aaron. – W naszych czasach też nie wszyscy świętowali Chanukę, ale przynajmniej

wszyscy wiedzieli, co to jest. Może dlatego, że wtedy w Otwocku mieszkało wielu Żydów, a teraz nie ma ich wcale. Chanuka to żydowskie święto.

– A kiedy się je obchodzi?

– W naszym kalendarzu ten miesiąc nazywa się Kislew, ale wam łatwiej będzie zrozumieć, jeśli powiem, że w grudniu.

– O, to zupełnie jak Boże Narodzenie!

– Owszem. Ale my nie obchodziliśmy Bożego Narodzenia.

– I nie było wam przykro, kiedy wasi koledzy dostawali bożonarodzeniowe prezenty, a wy nie?

– Nie. Chodziliśmy w Otwocku do żydowskiej szkoły i nasi szkolni koledzy obchodzili te same święta, co my. Poza tym z okazji Chanuki też się dostaje prezenty.

– Ale mieliście opowiedzieć nam o zabawie drejdem – przerwała Uszka.

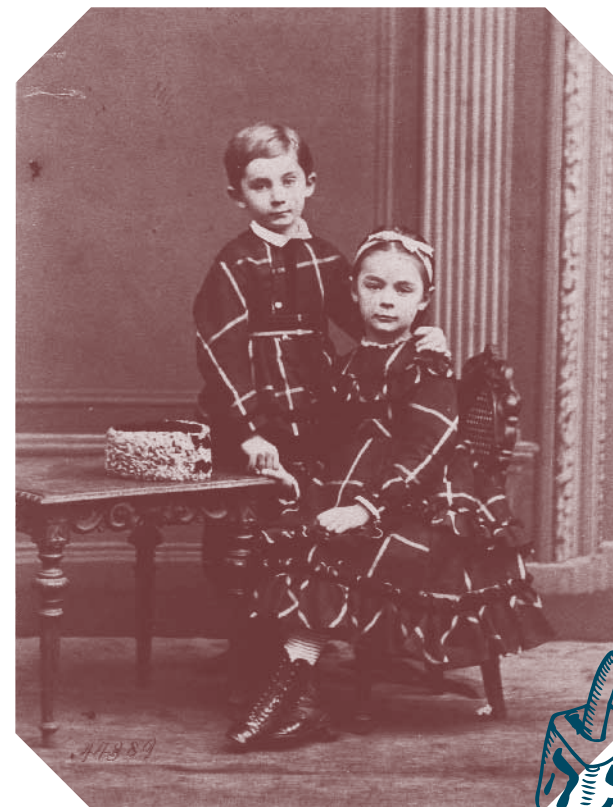
– No tak. To bardzo proste. Spójrzcie, drejdel to taki bączek. Na pewno wiecie, jak się kręci bączkiem – powiedziała Esterka biorąc drejdlą ze szkatułki.

– Jasne, że wiemy. I co dalej?

– Przyjrzyjcie się teraz jego ściankom.

Uszka i Filcek dokładnie je obejrzel. Na każdej z czterech ścianek wyrzeźbiono inny znaczek. Esterka mówiła dalej:

– To hebrajskie litery. Każda z nich oznacza co innego. Gra polega na kręceniu drejdem i sprawdzaniu, jaka literka wypadnie – Esterka zakręciła bączkiem, który przez chwilę wirował szybko na podłodze, zwolnił, a potem upadł na jedną ze ścianek. – O, zobaczcie,



wygrałam! Tutaj jest literka gimel, dzięki której bierze się wszystko.

– Wszystko, czyli co? – wtrącił Filcek

– My najczęściej graliśmy o torebkę cukierków. Teraz wygrałabym całą. Ale gdyby drejdel upadł na tej ścianie – Esterka przekręciła bączka – wygrałabym połowę.

– Pozostałe dwie ścianki są gorsze – dodał Aaron. – Jeśli drajdel wskaże literkę nun, to jeszcze nie jest źle. Nic nie wygrywam, ale też nic nie tracę. Najgorzej, kiedy wypadnie shin, trzeba oddać do torebki trochę swoich cukierków.

– Świetna gra! – wykrzyknął Filcek.

– My też ją lubiliśmy i dlatego graliśmy w nią prawie codziennie, nie tylko w czasie święta Chanuki. W końcu mama się zdenerwowała i schowała drejdl.

– A może macie ochotę z nami zagrać? – zapytał Aaron.

– Chętnie byśmy zegrali, ale niestety nie możemy – odparł Filcek. – Musimy przejrzeć wszystkie rzeczy zgromadzone na strychu. Szukamy maskotki, która należy do jakiegoś ducha.

– Ale po co? – zdziwiła się Esterka.

Filcek opowiedział swoją historię. Uszka dodała, że szukają już od dłuższego czasu i nadal nic nie znaleźli.

– Właściwie mnie to nie dziwi – powiedziała Esterka. – W naszych czasach maskotki nie były tak popularnymi zabawkami, jak dziś. Niektórzy mieli jakieś szmaciane zwierzątka, ale częściej bawiliśmy się lalkami, drewnianymi figurkami i pojazdami. Jedna z moich koleżanek miała taką śliczną porcelanową zastawę dla lalek! Uwielbiałyśmy się

nią bawić, chociaż zawsze bałam się, że coś stłukę.

– Pomożecie nam przejrzeć resztę rzeczy? – zapytał Filcek

Aaron od dłuższej chwili milczał. Wyglądał, jakby usiłował coś sobie przypomnieć. W końcu powiedział z namysłem:

– Myślę, że mogę wam pomóc. Esterka, pamiętasz Jakubka?

– Tego, z którym się ciągle kłóciłeś? Jasne, że pamiętam.

– Jakubek miał wielkiego szmacianego szczura. Sam go uszył i ciągle mnie nim straszył. Wkładał go do mojej szkolnej torby, a kiedyś nawet rzucił mi go pod nogi w synagodze.

– Co to jest synagoga? – przerwała Uszka.

– To miejsce, w którym modlą się Żydzi. W Otwocku

było kilka synagog. Mama i tata często tam chodzili i zabierali nas ze sobą. Ale Aaron zawsze miał problemy ze skupieniem w czasie modlitwy. Mama martwiła się, że nie uda się go wychować na pobożnego Żyda. – A jak miałem się skupić, skoro Jakubek ciągle mi przeszkadzał? – zdenerwował się Aaron. – Ale słuchajcie dalej. Jakubek ciągle straszył mnie tym szczurem. Postanowiłem mu go zabrać. Któregoś dnia byliśmy razem w parku. Jakubek pobiegł zobaczyć fontannę i zostawił swoją torbę na ławce. Wykorzystałem to i zabrałem szczura. Postanowiłem schować go w takim miejscu, żeby nikt go już nigdy nie znalazł.

– Och, i myślisz, że ciągle tam jest? – spytał Filcek z ufnością.

– Mam nadzieję. Chodźmy!

Wyszli na korytarz. Na samym końcu znajdowały się drzwi do małego pomieszczenia.

– Tutaj mieliśmy spiżarnię – powiedziała Esterka.

Aaron kucnął i zaczął dotykać drewnianej podłogi.

Po kolei badał deski, sprawdzając, czy któraś da się podnieść. W końcu jedna z desek ustąpiła. Aaron włożył dłoń pod podłogę, pogrzebał chwilę, po czym wyciągnął zardzewiałe metalowe pudełko. Powoli podniósł pokrywkę. W środku leżało coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak zbity motek burej wełny.

– Chcesz powiedzieć, że to maskotka? – powoli zapytała Uszka.

– Pewnie. Nie widzisz? – Aaron wyciągnął bury kłęb z pudełka. Dokładniejsze oględziny wykazały, że ma uszy oraz sztywne wąsy, a także oczka z czarnych koralików.

– Cóż, lepsze to niż nic. Nie sądzę, aby do pełni udało nam się znaleźć coś bardziej stosownego. Miejmy nadzieję, że to wystarczy – orzekł Filcek

– Teraz musimy tylko zanieść go na stację – dodała Uszka.

– Ale Jakubek się ucieszy! – westchnęła Esterka.

– Nie robię tego dla Jakubka – burknął Aaron. – Nie znoszę Jakubka!

Jeszcze tej samej nocy zanieśli szmacianego szczura na stację. Umówili się, że będą go pilnować na zmianę, żeby na pewno doczekał przyjazdu lokomotywy.



W dniu pełni dwie godziny przed północą Filcek siedział obok szmacianego szczura, niecierpliwie czekając na Uszkę, która miała zastąpić go na straży. Przybyła odrobinę spóźniona.

– Nie zmieniłeś zdania? – spytała na powitanie. – Ta twoja Agnieszka na pewno już przestała za tobą tęsknić.

– Wybacz, ale nie. Czuję, że muszę do niej wrócić.

– Jak chcesz – Uszka wyraźnie posmutniała.

Z budynku stacji wyszedł duch mężczyzny. Filcek rozpoznał w nim zawiadowcę stacji.

– A więc udało ci się! – wykrzyknął zawiadowca. – Nie sądziłem, że będziesz aż tak wytrwały.

– Owszem, udało mi się – odpowiedział Filcek – ale wybacz, muszę już wracać do domu. Nie chcę, żeby gwizd lokomotywy zastał mnie w drodze. Wolałbym

przemienić się w maskotkę na łóżku Agnieszki.

– Obawiam się, że musisz jeszcze chwilę poczekać.

W budynku czekają na ciebie ważni goście. Chyba powinienes się z nimi zobaczyć.

Filcek poczuł jednocześnie niepokój i ciekawość. Niecierpliwie podążył za zawiadowcą. Uszka ruszyła za nimi, ciągnąc za sobą szmacianego szczura, który przecież nie mógł zostać sam.

Jakież było zdziwienie Filcka, gdy w dworcowym budynku ujrzał prawie wszystkie duchy, które poznał w Otwocku (z jakiegoś powodu zabrakło Fałdziaka)! Na ławce siedział Geisler, a tuż obok niego stolarz. Andriolli nerwowo krążył wokół hali. Eugenia w szalonych poszukiwaniach wyrzucała kolejne rzeczy ze swojej przepastnej walizki, Gurewicz zaś stał obok i przemawiał do niej uspokajającym tonem.

Na podłodze siedzieli Aaron i Esterka i – rzecz jasna – grali w drejdlą.

– Co się tu dzieje? – wyjąkał Filcek.

– Widzisz – zaczął zawiadowca – w świecie otwoczych duchów stałeś się ostatnio bardzo znaną postacią. Wszyscy mówią o tobie i o tym, co zamierzasz zrobić.

– Bardzo wzrusza nas twoje poświęcenie dla Agnieszki i to, że chcesz zrezygnować z możliwości, jakie daje bycie duchem – dodał Gurewicz.

– Nie chcemy, żebyś resztę swoich dni spędził jako nieruchoma maskotka – powiedziała Esterka.

– Właściwie ja także polubiłem życie ducha, ale nie mogę przecież zostawić Agnieszki – odparł Filcek. – Dlatego nie mam wyjścia. Muszę z powrotem stać się maskotką.

Zawiadowca uśmiechnął się tajemniczo:

– No właśnie, nie musisz. Nie powiedziałem ci jeszcze wszystkiego. Otóż istnieje takie stare, trochę zapomniane prawo. Jeśli przynajmniej dziewięć duchów uzna, że duch, taki jak ty – czyli stworzony z maskotki – zasługuje na to, aby podarować mu prawdziwe życie, to spisują oświadczenie.

W tym momencie Eugenia zawołała z ulgą w głosie:

– Znalazłam!

I wyciągnęła z torby kartkę papieru. Mieniła się różnymi kolorami, a po jej powierzchni biegały złociste isierki.

– Czytaj! – Gurewicz podał kartkę Filcowi.

– „My, duchy Otwocka, zgodnie oznajmiamy, że charakter obywatela kota–ducha imieniem Filcek jest czysty i nieskalany, że najważniejsze dlań są miłość i przywiązanie do istoty ludzkiej. Niniejszym więc oświadczamy, iż godzien jest przyjąć postać żywego kota.” – przeczytał na głos zdumiony Filcek.



Pod dokumentem widniało osiem podpisów otwoc-
kich duchów. Filcek przeczytał je szybko, po czym
z zaciekawieniem spojrzął na Uszkę.

– A ty, czemu się nie podpisałaś? – zapytał

– No wiesz, cały czas się zastanawiam... – roześmiała
się, lecz kiedy zobaczyła, że Filckowi nie jest do śmie-
chu, dodała: – No dobrze, żartowałam. Nie podpisa-
łam, bo cały czas byłam z tobą. Już podpisuję.

To mówiąc, podleciała do Gurewicza, który trzymał
w dłoni pojemniczek z jakimś gęstym złocistym płyn-
nem. Zanurzyła nóżkę w płynie, po czym dumnie od-
biła ją na dokumencie. Na twarzach zebranych poja-
wiły się uśmiechy. Tylko Filcek ciągle nie rozumiał,
co się dzieje.

– Chcecie podarować mi prawdziwe życie? Czyli będę
normalnym kotem, tak? Agnieszka będzie mnie wi-
działa i będzie mogła mnie dotknąć?

– Właśnie tak. A poza tym, jeśli nie wydarzy się nic
nieprzewidzianego, za kilkanaście lat znów staniesz
się jednym z nas. Głupio zabrzmiałoby, gdybym po-
wiedziała, że nie mogę się doczekać, ale cóż, przyzna-
ję, że będzie mi ciebie brakowało – odparła Uszka.

– To co, zgadzasz się? – spytał niecierpliwie Aaron. –
Chciałbym zobaczyć, jak duch zmienia się w żywego
kota.

Filcek zastanawiał się przez chwilę.

– Myślę, że Agnieszka nie potrzebuje już maskotki.
Jest wystarczająco duża, aby mieć prawdziwego kota.

– W takim razie musisz już tylko podpisać. O, tutaj –
wskazał zawiadowca.

Filcek zanurzył łapkę w złocistym atramencie i przy-
łożył ją we wskazanym miejscu. Kartka natychmiast
poszybowała w górę, po czym na oczach wszystkich
duchów rozpadła się na dziesiątki mieniących się
iskierek.

– Ojej! – szepnęła zachwycona Esterka.

– W takim razie załatwione – rzekł Gurewicz. –
Teraz musisz tylko poczekać na gwizd naszej lokomo-
tywy. Na szczęście mamy jeszcze trochę czasu.

A potem nastąpiły miłe i wzruszające chwile. Filcek
żegnał się po kolei ze wszystkimi otwocskimi ducha-
mi. Najtrudniejsze było pożegnanie z Uszką. Rozga-
dana sowa stała mu się naprawdę bliska.

– Będę cię obserwować, pamiętaj! – powiedziała
Uszka, siląc się na swobodny ton.

– Mam nadzieję. Czasem, kiedy nikogo nie będzie obok, daj mi znać, że jesteś w pobliżu. No wiesz, możesz na przykład zrzucić na podłogę doniczkę z kwiatkiem. I tak wszyscy będą myśleli, że to ja.

– Jasne – roześmiała się. – Możesz na mnie liczyć. Zbliżała się północ. Duchy rozeszły się do swoich zajęć. Na peronie oprócz Filcka zostali już tylko zawiadowca, Uszka i Aaron, który bardzo chciał zobaczyć przemianę. Filcek nie zdążył się nawet zastanowić, jak teraz będzie wyglądało jego życie. A co, jeśli rodzice Agnieszki nie zgodzą się na trzymanie prawdziwego kota?

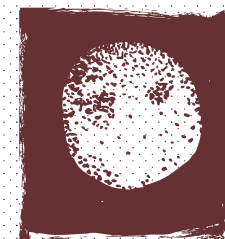
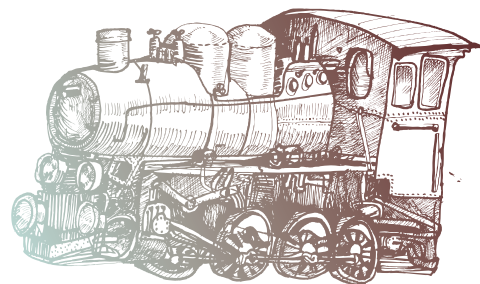
– Na pewno chcesz ożywić tego szmacianego szczura? – zapytała Uszka, wyrывая go z ponurych myśli. Z niechęcią patrzyła na starą, poszarpaną maskotkę leżącą obok nich. – Teraz już nie musisz tego robić.

Jeszcze zdążymy go stąd zabrać.

– Daj spokój, niech zostanie. Tyle lat leżał pod podłogą, że na pewno teraz chętnie sobie pobiega.

– Jedzieeeee! – wrzasnął zawiadowca

Filcek wymienił ostatnie uściski i słowa pożegnania z Uszką i Aaronem. A potem rozległ się przeciągły gwizd...



Dzień był wyjątkowo paskudny. Od rana padał deszcz i nie zanosiło się na poprawę.

Omijanie kałuż przychodziło Agnieszce z coraz większym trudem, bo kałużami były już właściwie całe ulice. Wreszcie dotarła do domu. Ku swojemu zdziwieniu na werandzie ujrzała przeraźliwie miauczącego kota. Kot był czarny, z nadzwyczaj długim ogonem w szare prążki. Wyglądał żałośnie, bo futerko miał przemoczone i trząsł się z zimna. Widziała go pierwszy raz w życiu, jednak z jakiegoś powodu wydał jej się znajomy.

– Cześć maluszk! – powiedziała wyciągając do niego rękę. – Zgubiłeś się?

Kot z zadowoleniem trącił jej rękę pyszczkiem. Po chwili usłyszała głośne mruczenie.

– Chodź do środka. Wysuszysz się trochę, napijesz mleka i zobaczymy, co dalej.

Filcek (bo rzecz jasna był to właśnie on) posłusznie wszedł za Agnieszką do sieni. Dziewczynka wytarła go jakąś szmatką, po czym przyniosła miseczkę mleka. Kiedy pił, stała obok, przyglądając mu się, i nie przestawała mówić:

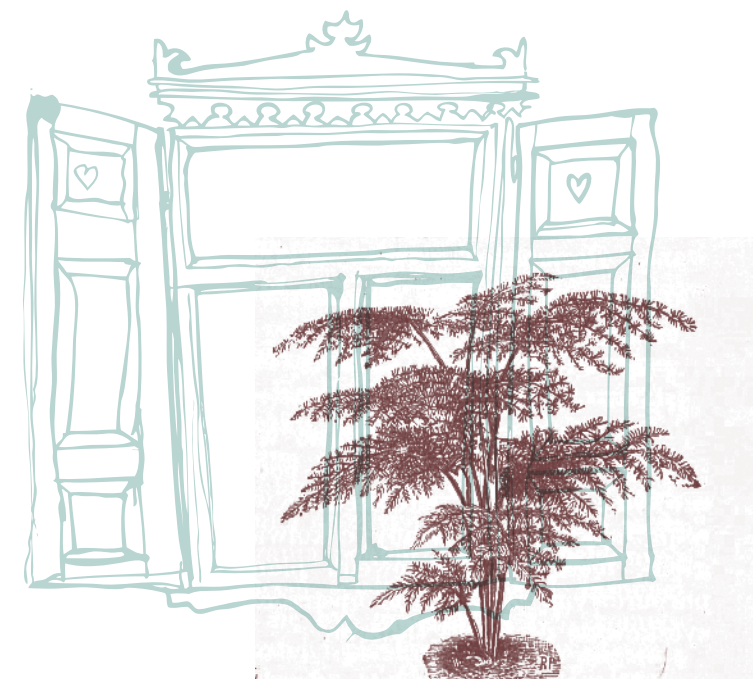
– Wiesz, jesteś taki podobny do mojego Filcka. Chciałabym, żebyś mógł ze mną zostać, ale pewnie masz już swój dom. Będę musiała poprosić sąsiadów, dać ogłoszenie, że się przybłąkałeś. Może ktoś się zgłosi? A jeśli nie, to może rodzice pozwolą mi cię zatrzymać. Chciałbyś?

Filcek mógł tylko głośniej zamruczeć. Wiedział, że nikt się po niego nie zgłosi, nawet jeśli napiszą setki ogłoszeń i zapytają o niego wszystkich mieszkańców Otwocka.

Ze smakiem dokończył mleko. Kiedy wylizywał futerko, spostrzegł z przerażeniem, że stojąca na parapiecie paprotka unosi się w powietrze, a w następnej chwili z hukiem uderza w podłogę.

– Uszka! – pomyślał ze złością. – Miałas poczekać, aż nikogo nie będzie w pobliżu!

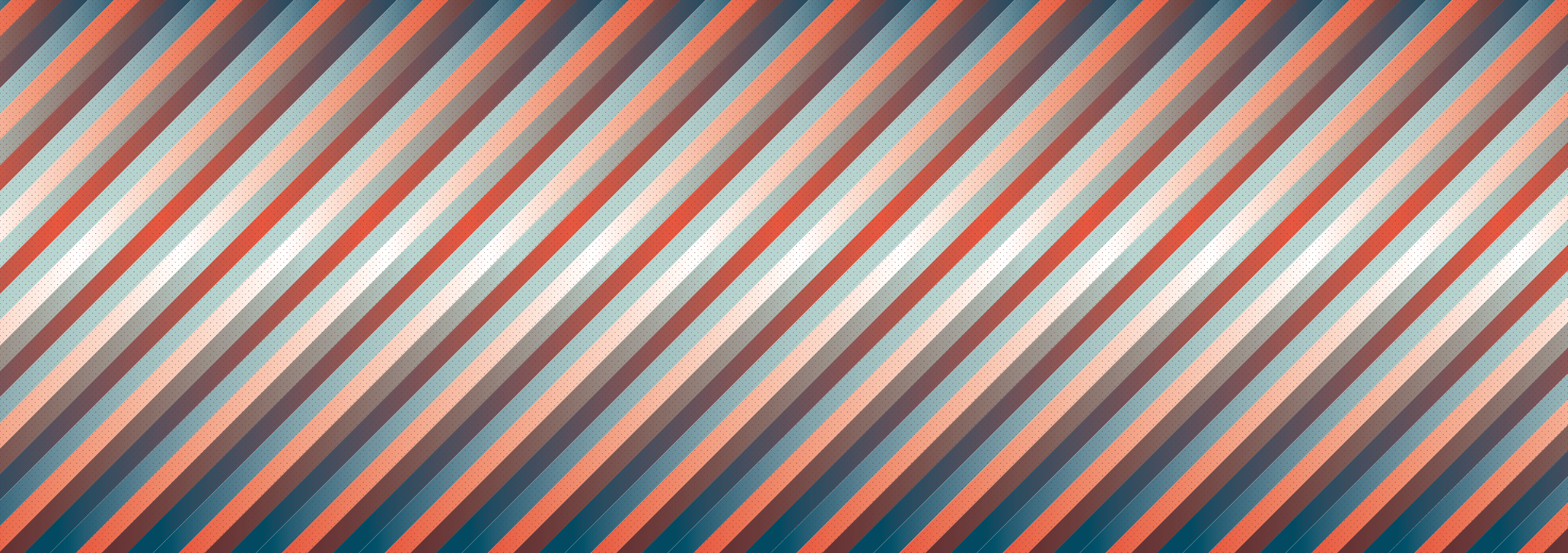
Agnieszka ze zdumieniem wpatrywała się w potłuczoną doniczkę. Jak to możliwe, że sama spadła z parapetu?



Asparagus plumosus nanus Bak.







Organizator:



Partnerzy:



Patroni medialni:



zdjęcia pochodzą z portalu WWW.POLONA.PL